№ 34. Warszawa, dnia 21 (9) Sierpnia 1886 r. Rok VI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2 k. 50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

CHWILOWE OTRZEŹWIENIE.

Co uradzono w Kissingen i Gasteinie— nie wiadomo i rozum śmiertelnych daremnie siliłby się na uchylenie zasłony tych tajemnic. Natomiast aż nadto wyraźnie wiadomo, że oba te zjazdy nieprzyjemnie dotknęły prasę rosyjską, która w gniewie na niemców zapomniała nawet o tej niechęci, o której nigdy nie zapomina — do polaków. Usuwając z pod tej uwagi pisma poważne, które w każdem położeniu i w każdym stosunku starają się zachować rozum i godność, wyznajemy, że dawno już nie słyszeliśmy tak rozsądnej i logicznej mowy dzienników rosyjskich. Dochodzą one do wniosków, od których zwykle uciekały daleko, godzą się na takie wywody, które przedtem służyły im tylko za przedmiot złośliwych uśmiechów. I jeżeli—według przysłowia — „gniew jest złym doradcą," to w obecnym wypadku okazał on się dziwnie dobrym i życzliwym.

Ile razy prasa polska w sporach z rosyjską podniosła kasztany, które z ognia nadwiślańskiego wyciągają niemcy, zawsze słyszała z przeciwnej strony odprawę: daremne strachy, których się nie boimy; napływ niemiecki przynosi nam pierwiastki cywilizacyjne i wierną służbę, której w miejscowem zaludnieniu nie znajdujemy. Daremnie oprowadzano głosicieli tej zasady po zachodnich kresach Królestwa, zalanych germanizacyą, daremnie wskazywano olbrzymie jej ogniska przemysłowe, daremnie wykrywano różnych zagadkowych „dzierżawców" przepraw, daremnie wyśledzono „podwójne poddaństwo" — wszystko to nic nie pomagało i nie miało wagi przekonywających dowodów. Nawet wygnania pruskie, które bądź co bądź, po za swem okrucieństwem, posuwały dalej ku wschodowi napór niemiecki, również nie zdołały otworzyć oczu, zamkniętych czy oślepionych na widoki przyszłości. Teraźniejszość całkiem pochłonęła tych polityków, którzy odurzali się, hypnotyzowali i upajali jej lichego gatunku narkotykami. Niemiec w kolumnach wielu gazet rosyjskich przechadzał się ciągle pod rękę ze słowianofilem, jako jego przyjaciel, wspólnik, sprzymierzeniec, wychwalany, całowany, sławiony. W tych chwalbach i umizgach było dużo udania „na złość" tym, którym nie przebaczono niemego i bezwładnego trwania i którzy na uwieńczonej głowie rzekomego przyjaciela dostrzegali rogi a na miękkich palcach pazury, ale z niezmęczoną przekornością twierdzeniom polskim snuł się ten polityczny romans, jako małżeństwo z rozumu. Z czasem kłamiący miłość uwierzyli we własne swoje kłamstwo, mniemając, że istotnie kochają tych, dla których uczucia rozdmuchiwali obłudą. Nareszcie szybkim obrotem rzeczy następują dwie narady: ministrów w Kissingenie i monarchów w Gasteinie. Nagle wszystkie łuski i bielma spadły z oczu prasy rosyjskiej, która ujrzała niemca takim, jakim on jest—samolubnym i o swoją sąsiadkę mało dbałym. Wobec tego nieuniknionego rozczarowania wypłynęły na wierzch długo topione w nienawiści plemiennej szkody, pokryły się czarną barwą zabory ekonomiczne i wszystkie „usługi" cywilizacyjne, jakie niemcy na polskiej skórze Rosyi wyświadczyli. W poprzednich numerach *Prawdy* przytoczyliśmy objawy tego otrzeźwienia, różne głosy dzienników petersburskich, obliczających smutny rezultat przyjaźni sąsiedzkiej. Szczegółowo nad każdym z nich zastanawiać się nie będziemy i nie moglibyśmy, zapisujemy tylko ogólnie ten zwrot, który miałby doniosłą wartość, gdyby, niestety, nie był chwilowym napadem złego humoru.

Graždanin między wieloma słusznemi zrobił jedną najsłuszniejszą uwagę, że polityka rosyjska zbyt już długo chodzi na pasku niemieckim i że powinna się od niego wyzwolić. Ale nietylko polityka pozostaje w tej zależności, może jeszcze daleko większą zdradza opinia. Jest to faktem zdumiewającym, że dziennikarze rosyjscy, zimni aż do zamarznięcia uczuć, krytyczni aż do srogości w poglądach swoich, na pewne sprawy polityczne patrzą ciągle przez okulary niemieckie. Niech z Berlina spadnie garść plew, z pewnością w Petersburgu zbiegnie się do nich stado wróblów. Sofizmaty najpośledniejszego gatunku, syki gadzinowe, mizerne wykręty i zuchwałe szyderstwa z najprostszych zasad moralności, ukute w mennicy kanclerskiej, przyjmowane są przez część prasy rosyjskiej za dobrą monetę. Dla Bismarka zbłąkanie tej opinii jest niezmiernie pożądanem, tumani też on ją bezpośrednio i pośrednio wszelkimi sposobami a ona tego wcale nie spostrzega. Rzec można, że ten kąt widzenia, pod jakim spogląda na polaków, jest tworem czysto niemieckim. Nieraz zdaje się, że wymierzone przeciw nam artykuły gazet petersburskich są tylko przekładami z berlińskich. Nawet nienawiść ich ma cechy niemieckie, obcoplemienne. Po ogłoszeniu rozkazów prześladowczych o narodowości polskiej, a więc słowiańskiej w Prusach, jedna z gazet rosyjskich, a więc słowiańska, która dziś wypiera się sympatyi dla germanizmu, pisała: „Ks. Bismark miał prawo użyć tego środka radykalnego, który narobił tyle wrzawy... Przyjazne stosunki między obydwoma cesarstwami wyłączają wszelką możliwość *nawet przypuszczenia,* aby nas chciano obrazić w sposób, wymagający represaliów." Naturalnie, gazeta odradza wszelki odwet. W słowach tych widzimy

nietylko nieżyczliwość dla polaków, ale także bałwochwalstwo dla niemców. *Graždanin*, mówiąc o „zahypnotyzowaniu“ trafił w sedno. Dziś dzienniki rosyjskie, przebudziwszy się na chwilę z tego snu hypnotycznego, oskarżają swoją politykę, to jest dyplomacyę i ministrów, ale zapominają o tem, że one również wpływały na tę politykę, że one wytwarzały opinię, że one podtrzymywały wiarę w przyjaźń i mądrość niemiecką. Jeżeli tu uznamy winę, to mniej ona spada na dyplomacyę, niż na prasę, która lekkomyślnie łapała się na lep zdradziecki i służyła cudzym bogom. Dziś ona przestała się śmiać ironicznie i widzi niebezpieczeństwo własne tam, gdzie dotąd widziała korzyści. Dziś woła, zdybawszy gromadkę oficerów pruskich, uczących się języka rosyjskiego pod Moskwą: „Cały system szpiegowstwa i tajemnych związków urządzili niemcy w Rosyi, co im tem łatwiej przychodzi, że pod osłoną tolerancyi wyznań luterstwo zakorzeniło się nietylko we wszystkich prawie miastach Rosyi, ale co więcej szczególnie i wprost w samem jej sercu — w Moskwie.“ Tak woła dziś, po zjazdach ministrów i cesarzów niemieckich, ale czy to samo powtórzy za rok, za dwa lata, politykując na temat spraw polskich? Wątpimy — i to jest klęska, równie szkodliwa dla naszego kraju jak i dla całego państwa. Zanim dyplomacya wejdzie na inną drogę, zanim do jakiegoś ładu doprowadzony zostanie spór narodowościowy, przedewszystkiem prasa rosyjska powinna wyzwolić się z pod czaru i wpływu niemieckiego, otrzeźwić się z hypnotyzmu, którego zabójcze skutki teraz sama uznaje. Pisma polskie od lat wielu zgodnie twierdzą, że ten paraliż od strony zachodniej nietylko nas zabija, ale również niszczy Rosyę, że musi ona z niego co prędzej się wyleczyć. Też samą naukę z doświadczeń wyciągają obecnie jej dzienniki — oby nie na krótko. Tradycye Pogodinów, Samarynów, Chomiakowów i in. powinny odżyć pod postacią słowianofilstwa czystego, niezaprawionego germańskim witryolejem.

APOTEOZA JEZUITÓW.

Przez pierwsze lata rządów Leona XIII łudzono się powszechnie przekonaniem, że nowy papież, który wstąpił na stolicę apostolską w warunkach bardzo trudnych, jako „więzień,“ będzie spokojnym białym łabędziem z podciętemi skrzydłami. Powoli wszakże ów biały łabądź zaczął przybierać barwę czarną i zdradzać usposobienie wojownicze: kropnął kilka bulli i encyklik energicznych, najeżył się przeciw kilku rządom, potępił nowsze zdobycze myśli ludzkiej—słowem okazał, że nie myśli być niemym świadkiem biegu wypadków. Do śmielszej jednak działalności brakło mu mocnego ramienia świeckiego. I znalazł je właśnie tam, gdzie się takiej dla niego pomocy wcale nie spodziewano — w ks. Bismarku. Kanclerz poddaniem sporu z Hiszpanią o wyspy Karolińskie pod sąd papieża i znacznemi ustępstwami w pruskich prawach majowych, ograniczających duchowieństwo katolickie, ośmielił Leona XIII, który wystąpił już nie jako trwożliwy obrońca kościoła, ale jako władca, mający swoją własną politykę. Nie zawahał on się w tem sojuszu ani obrazić uczuć dwunastomilionowego narodu, który należy do jego owczarni, ani wyzwać do walki potężnych państw — jak Francya — o których względy dotąd dbał wielce. Jak wszyscy możni tego świata zaczął on krążyć około słońca niemieckiego i podtrzymywany przezeń wytworzył sobie własny systemat i własnych satelitów. Dziś już obiega drogą nakreśloną mu przez Bismarka, bo na niej rozwinąć może siłę przyciągania.

Pomiędzy przystawkami katolicyzmu żadna nie obudziła tyle odrazy i nienawiści, co jezuityzm. Nawet w narodach najkorniejszych i najposłuszniejszych papiestwu — jak polacy — nie zdołał on uratować dla siebie ani szacunku, ani pobłażania, i bula Klemensa, znosząca ten zakon, wspominana jest przez prawowiernych naszych pisarzów (Krzyżanowski), jako dobrodziejstwo. Wstręt ów ogarnął wszystkie społeczeństwa europejskie, które w nim pozostały mimo przeciwnych usiłowań nowoczesnego ultramontanizmu. I oto Leon XIII, na przekór tym uczuciom, uznał za stosowne teraz na nowo pobłogosławić przeklętą pracę jezuitów, ukoronować Towarzystwo Jezusowe uroczyście i potwierdzić wszystkie jego przywileje. W świeżo wydanem *breve* mówi on pomiędzy innemi że:

„Dla okazania naszej miłości do Towarzystwa Jezusowego, potwierdzamy mocą naszej apostolskiej wszechwładzy i ponownie niniejszem poręczamy listy apostolskie, wszystkie ogółem i każdy z osobna, które miały za przedmiot założenie i umocnienie Towarzystwa... Potwierdzamy i poręczamy na nowo wszystko, co one zawierają, jako też przywileje, wyłączenia, indulty, wszystko, co Towarzystwu przyznano bądź bezpośrednio, bądź łącznie z innemi... Rozporządzamy, ażeby breve to i w przyszłości miało swoją ważność i skuteczność. Chcemy, ażeby ono zachowało całą swą siłę i przynosiło wszelkie korzyści tym, których dotyczy lub dotyczyć może, niezależnie od breve Klemensa XIV z 22 lipca 1773 i kilku innych przeciwnych aktów, które wymagały wzmianki oraz osobnego i wyraźnego zniesienia. Znosimy je tedy osobno i wyraźnie.“

Tak więc rozumna i uczciwa reforma Klemensa XIV po stu przeszło latach została przez Leona XIII przemazana i unieważniona. Na co zdobył się wiek XVIII, to jeszcze wydaje się zbyt radykalnem XIX-mu. Wymowny znak czasu. O niego głównie chodzi. W obecnych warunkach jezuici nie mogą być już tak szkodliwi, jak byli dawniej, ale uroczyste wskrzeszenie ich chwały przekonywa, do jakiego stopnia cienie reakcyi rozpostarły się nad Europą, kiedy nietoperze i puszczyki wybiegają ze swych dziupli tak odważnie i taką gromadą.

Zaznaczając zwężenie się pola działalności dla Towarzystwa Jezusowego w obecnej dobie, nie lekceważymy szkód, jakie ono społeczeństwom wyrządzić może wszędzie, gdzie posiada zabezpieczoną swobodę. Wiadomo, co ono robi dotąd w Belgii. Z ziem polskich tylko Galicya wystawiona jest na łup tych lisów. Ale wątpimy, czy tam one jeszcze wiele udusić mogą, gdy prawie wszystko podusiły. Będą tylko śmielej ogryzać kości.

Byłoby to wypadkiem bardzo naturalnym, gdyby Leon XIII swojem bezwzględnem postępowaniem wywołał nowe rokosze i nowe odszczepieństwa w katolicyzmie. Za zbyt on spuścił z uwagi dobro i potrzeby swych poddanych i za zbyt zaczął dbać wyłącznie o umocnienie swego tronu i dyplomatyzować. Owce są cierpliwe, ale to są owce nowoczesne. Można dziś powoływać się na Pawła III, ale jego czasów już wskrzesić nie można.

---

1)

POWIEŚĆ.

STARA MIŁOŚĆ

przez

C. del Negro.

Kardynał Beni siedział przy biurku bezczynny i smutny. Przez nawpół przezroczyste szyby okien, do połowy przesłoniętych brokatelą, skąpe tylko światło ładnego dnia zimowego wciskało się do wysokiej sali, napełnionej lodowato-chłodnem powietrzem. Na środku jej stał wprawdzie duży piec mosiężny, a w nim widziałeś kupkę żarzących się węgli, ale ciepło ich tylko w najbliższem sąsiedztwie dawało się uczuwać. To też znudzonemu człowiekowi z za biurka zdawało się, że zmarznie. Wciskał się ziębnięty w głąb fotela, od czasu do czasu dotykał ręką głowy, jak gdyby dla przekonania się, czy się nie zsunęła stamtąd czerwona jego czapeczka. Pocierał dłońmi o rękawy swej książęcej sukni czerwonej, nakoniec podniósł się i, wyprostowawszy zesztywniałe członki, podszedł do pieca, którego żar zaczynał się już powlekać popiołem. Gdy przystanął tam, trzymając ręce nad żarzewiem, zaledwie się jeszcze tlejącem, zaczął z boleśnie zaciśniętemi ustami rozmyślać o czasach dawno ubiegłych, o wielkiej miłości, którą był znalazł, a której, gwoli swej niepohamowanej żądzy dostojeństw, nakazał milczenie. Jakże inaczej stało się wszystko, niż był przypuszczał! Dosięgnął wprawdzie upragnionych wyżyn, lecz jakże znużony! i jak mało zadawalniającą była owa świetność, choć dla niej wyrzekł się szczęścia, którego brak wszyscy wcześniej lub później odczuwają boleśnie. Jakże nieskończonemi są godziny samotności.

Głuchy turkot wjeżdżającego w bramę powozu wyrwał księcia kościoła ze smutnych rozmyślań. Stary sługa, wszedłszy, oznajmił, iż jego eminencya kardynał Ornatelli czeka w karecie na dole.

Kardynał Beni ruszył na spotkanie gościa, na którego oczekiwał na najwyższej kondygnacyi schodów.

Powolnym krokiem — odpowiednio godności swej i wiekowi (przybywający tak samo, jak i Beni miał lat siedemdziesiąt sześć) postępował kardynał Ornatelli, za nim szedł jego caudator (paź).

Gdy wreszcie wszedł na górę, obaj prałaci, zamieniwszy ze sobą zwykłe pozdrowienie poszli, do pokoju, który przed chwilą opuścił Beni; caudator pozostał w poczekalni.

Znalazłszy się sam na sam uścisnęli sobie ręce z pewną poufałością.

Gdy usiedli, natychmiast zaczął Ornatelli wyłuszczać powód swoich odwiedzin. Chodziło o pewne poufne posłannictwo jego świątobliwości. Zamierzone zniesienie klasztorów nastręczało wiele nudnych powikłań. Jakkolwiek z Watykanu wyszedł był rozkaz, aby członkowie zakonów w milczeniu i z godnością poddali się losowi, to przełożone niektórych klasztorów powzięły zamiar opierania się owemu wyrokowi. Jedna zwłaszcza z pomiędzy nich była szczególnie upartą i właśnie eminencya, kardynał Beni miał ją przywieść do upamiętania. Jego świątobliwość wybrała go w tym celu.

Beni, zgadzając się na posłannictwo, zapytał: kto była owa oporna.

— Przełożona klasztoru św. Katarzyny— odpowiedział kardynał Ornatelli, przechylając się na bok.

NOWE PRAWA.

II.

W ciągu lat kilku zapowiadana i opracowywana ustawa o robotnikach wiejskich, czyli dosłownie o najmie do robót wiejskich składa się z dwóch części. Pierwsza część zawiera zmiany i uzupełnienia kodeksów karnego i cywilnego, druga — właściwą ustawę. Nowo wydane przepisy obowiązują w całem państwie, z wyjątkiem gub. archangielskiej i astrachańskiej, a więc i w Królestwie, chociaż w praktycznem ich zastosowaniu wymagać zapewne będą u nas zmian pewnych, ponieważ niektóre paragrafy stoją w sprzeczności z zasadami obowiązującego u nas prawa cywilnego i przepisów administracyjnych. Pospieszam dodać, że sprzeczność ta nie posiada zresztą wielkiej wagi.

Ważniejsze zmiany w pierwszej części polegają: § 2, na ustanowieniu kary od 2 do 4 miesięcy więzienia za sprzedanie fałszywego kontraktu lub za zmianę prawdziwego. § 3, za umyślne zatrzymanie kontraktu, za zmuszanie robotnika do przyjmowania zapłaty w produktach spożywczych lub towarach, wreszcie za świadome skontraktowanie robotnika, związanego umową z innym pracodawcą — winni podlegają karze pieniężnej do 100 rs. lub aresztowi (w trzecim wypadku) do 3 miesięcy. Za grubiaństwo względem pracodawcy, za rozmyślne uszkodzenie skomplikowanych maszyn, za niestawienie się do roboty lub samowolne opuszczenie jej — robotnik podlega karze aresztu do 1 miesiąca lub (w drugim przypadku) do trzech miesięcy. Taka sama odpowiedzialność grozi za pobranie zadatku od kilku osób. Dochodzenie sądowe za te wykroczenia, z wyjątkiem pierwszego — przedawnia się po upływie miesiąca. Sprawy tego rodzaju umarzają się przez pojednanie. Wszelkie powództwa w sprawach, wypływających z umów o najmie robotników wiejskich, winny być również wytaczane w ciągu miesiąca. Wykroczenia przeciw ustawie meldują się policyi, która spisuje protokół przy udziale obu stron. Wyroki w sprawach, wypływających z kontraktu o najem robotników, podlegają egzekucyi tymczasowej.

Dla oceny tych zmian dodać musimy, że kara za naruszenie umowy istnieje wtedy tylko, jeżeli ta umowa zawarta została piśmiennie, w przepisanej formie aktu umowne (dogowornyj list). Kara za złamanie umowy cywilnej stosowaną być może wtedy tylko, jeżeli czyn ten dokonany był ze złą wolą; zasadę tę sądy powinny brać pod uwagę przy wyrokowaniu, inaczej bowiem nowe prawo doprowadzić by mogło do nadużyć, zwłaszcza, że w tym względzie właśnie jest ono zredagowanem niejasno.

Przepisy o najmie dotyczą nietylko robotników wiejskich lecz i służby gospodarczej, nie stosują się jednak do osób zarządzających gospodarstwem (rządców, ekonomów itp.). Umowę zawierać może właściciel majątku lub osoba przezeń upoważniona; z prawa tego korzysta zarządzający majątkiem, chociażby nie miał pełnomocnictwa szczegółowego i formalnego. Rodzice nie mogą oddawać do służby dzieci małoletnich, jeżeli te nie zgadzają się dobrowolnie; dzieci nieletnie i mężatki, jeżeli nie posiadają oddzielnych paszportów, nie mają znowu prawa najmować się do roboty bez zezwolenia rodziców lub mężów.

Umowy o najem mogą być ustne i piśmienne, te ostatnie prywatne lub notaryalne. Osoby pragnące korzystać z pewnych prerogatyw, służących obu stronom, winny zawierać ugodę w formie aktu umownego, według przepisanego szematu. Pewna część prasy rosyjskiej pragnęła nadać tym aktom znaczenie książeczek robotniczych, ale prawodawca nie przychylił się do tych zamiarów, owszem ustawa zabrania nawet oznaczania w akcie umownym przyczyn zerwania i ma za sobą zupełną słuszność, inaczej bowiem równouprawnienie stron obu byłoby naruszonem. Wątpić zresztą można, czy akty umowne znajdą szerokie zastosowanie, gdyż pociągają one za sobą wiele formalności, jak np. poświadczenie urzędowe.

Czas trwania umów terminowych nie powinien przewyższać lat pięciu, ale robotnik może oddalić się po upływie roku, byle tylko na dwa miesiące przedtem zawiadomił pracodawcę. Umowy bezterminowe muszą być wypowiedziane na dwa tygodnie, pracodawca może zwolnić robotnika bez poprzedniego zawiadomienia, jeżeli zapłaci mu dodatkowo za dwa tygodnie czasu. Płaca powinna być z góry określona i wypłacona w oznaczonym terminie. Nie wolno wnosić do umów warunków, mających na celu ograniczenie dla którejkolwiek strony prawa dochodzenia sądowego swych pretensyj, ani oświadczeń, że robotnik poddaje się dobrowolnie karom pieniężnym, wyznaczanym przez pracodawcę.

Wzajemne obowiązki stron prawo określa w ogólnych tylko wyrazach, inaczej zresztą trudno to uczynić. Dopiero następne rozdziały o wykonaniu i rozwiązaniu umów zawierają dokładne przepisy. Prawa i obowiązki pracodawcy przechodzą na osoby upoważnione przezeń do zarządu majątkiem, ale odpowiedzialność majątkowa w każdym razie pada tylko na samego gospodarza. W razie niedopełnienia wypłaty w terminie, robotnik ma prawo żądać ½% dopłaty za każdy dzień spóźniony.

Nowe prawo ustanawia również wynagrodzenie robotnika lub pozostałej po nim rodziny w razie nieszczęśliwego wypadku. Rozmiar tego wynagrodzenia zależy od dobrowolnej umowy stron lub określa się przez właściwy sąd. Robotnicy fabryczni cieszą się w tych samych okolicznościach większą względnością prawa, aniżeli wiejscy, ci ostatni bowiem otrzymują wynagrodzenie wtedy tylko, jeżeli wypadek nastąpił z winy pracodawcy, czego zawsze trudno bardzo dowieść.

Robotnik może nie stawić się w terminie lub nawet rozwiązać zupełnie umowę, jeżeli dowiedzie niemożliwości jej wykonania. Prawo wylicza te przeszkody; tu zaznaczymy tylko, że jedną z nich jest śmierć lub ciężka choroba męża, żony, dzieci lub głowy rodziny.

Pracodawca może wytrącać robotnikom pewną część płacy za niedbalstwo, świętowanie, nieposłuszeństwo i uszkodzenie narzędzi gospodarskich. Wytrącona suma za świętowanie nie powinna przewyższać podwójnej płacy, jaka przypadała robotnikowi za ten czas. W innych zaś wypadkach kara nie może przenosić podwójnej płacy dziennej. W dalszym ciągu znajdujemy paragraf, nie licujący z charakterem całej ustawy, pragnący zapewnić obu stronom mniej więcej jednakowe prawa. Oto robotnikowi, który poda do sądu skargę na pracodawcę, jeżeli sprawę przegra, czas potrzebny na prowadzenie jej liczy się jako dzień opuszczony (progul); pracodawca więc może mu wytrącić z pensyi podwójną płacę.

Jeżeli robotnik porzuci swe zajęcie, pracodawca może poszukiwać na nim sądownie strat, w sumie jednak nie przewyższającej płacy trzymiesięcznej. Do takiego samego wynagrodzenia ma prawo robotnik, jeżeli wydalono go niesłusznie.

Bardzo szczegółowo oznaczone są powody do rozwiązania umów. Pracodawca może oddalić robotnika za: 1) niedbalstwo, lenistwo i nieposłuszeństwo, 2) pijaństwo lub zachowanie się brutalne względem go-

---

Beni natychmiast zmienił ton mowy.

— Ornatelli — powiedział on — do ksieni klasztoru św. Katarzyny ja iść nie mogę.

— Dlaczego, wszak jest waszą ciotką. Beni, czyż nie? — zapytał Ornatelli—rzucając badawcze spojrzenie.

— Zapewne, zapewne, ale... ale... nie wypada, doprawdy nie wypada. Weźcie na siebie ten ciężar, kochany Ornatelli. Wy nie macie żadnej zasady unikać spotkania się z przełożoną klasztoru św. Katarzyny.

— Tak sądzicie? — spytał znów tamten, tonem niezwykłym.

Zdziwiony tem gospodarz spojrzał na swego gościa, ale nie mógł już dojrzeć w nim nic szczególnego. Ornatelli uważnie zajęty był pilnem oglądaniem paznogci swych rąk białych i utrzymywanych starannie. Zaraz też dodał:

— Zresztą znam, jak sądzę, powód powstrzymujący was od zobaczenia się z siostrą Klarą. Czy nie była ona przyczyną tego, żeście żywot wasz na służbę kościoła poświęcili? Z ręką na sercu, Beni, czy nie było tam niepodzielonej miłości?

Zagadnięty potrząsnął głową, wpatrując się w ziemię.

— O, nie ukrywajcie się z tem — zawołał Ornatelli żartobliwie, i wyście należeli do zastępu tych, którzy naprózno dobijali się o piękną kobietę. Jak upajająco pachniały magnolie hrabskiego ogrodu, tak prawdą jest, iż nie myliły mię zmysły, gdym przejmował wasze płomienne spojrzenia, któreście przesyłali hrabiance. Myśmy wszyscy zgadywali tajemnicę waszego serca, nieszczęśliwcze, tylko chłodna i dumna hrabianka nie dostrzegała waszych cichych westchnień lub udawała może, że ich nie dostrzega.

— Było tam udawanie, kochany Ornatelli, wyrafinowane udawanie — odparł kardynał Beni. Wszak ofiarowała mi ona swoją miłość już w początkach owego pamiętnego lata, kiedyśmy to co wieczór wspinali się na góry Tivoli, aby tam z Klarą i z jej towarzyszkami używać przechadzki w sławnym ogrodzie magnoliowym.

Kardynał Beni tak głęboko był pogrążony we wspomnieniu przeszłości, iż nie postrzegł, jak wielkie wrażenie mowa jego zrobiła na Ornatellim. Oblicze siwego starca wyrażało gorzkie zdziwienie. Sam on kochał piękną hrabiankę i kochał ją tak zapamiętale, iż gdy żoną jego być nie zechciała, wyrzekł się wszystkiego, nawet świata i z rozpaczy wstąpił do zawodu kapłańskiego. Powiedziała mu niegdyś, może dla osłodzenia odmowy, że wogóle kochać nie jest zdolną. Odkrycie obecne, że Klara odtrąciła go przez miłość dla kogo innego, zbudziło w jego duszy cały tłum wspomnień o owych, od lat już przeszło pięćdziesięciu minionych dniach, kiedy kochał i cierpiał w ogrodzie magnoliowym. Nie wyrzekł jednak ani słowa. Westchnąwszy, przesłonił również oczy ręką i w milczeniu pozwolił dalej rozlegać się nad sobą przygnębiającym zwierzeniom sędziwego towarzysza.

— Cały pogrążony w ambitnych rojeniach — opowiadał Beni — odwiedzałem zrazu owe świetne zabawy ogrodowe hrabiego, jedynie ulegając życzeniom ojca. Po zejściu mego starszego i jedynego brata, ojciec mój nic innego nie miał na myśli, jak tylko żebym opuścił zawód duchowny i wziął na siebie wszystkie obowiązki, ciążące na jedynym potomku bogatego szlacheckiego domu. Ja wszakże od dzieciństwa o niczem innem nie myślałem, jak tylko o zostaniu księdzem. Odprawiać wśród dymu kadzideł mszę w jakimś kościele, od małych i dorosłych, od młodych i starych słyszeć ciągle tytuł wielebnego, idąc uli-

spodarza, osób z jego rodziny itp., 3) przywłaszczenie sobie przedmiotów, nawet należących do osób obcych, 4) umyślne uszkodzenie dobytku pracodawcy, 5) przeniewierstwo, 6) nieostrożne obchodzenie się z ogniem, 7) w razie zaraźliwej choroby, 8) z powodu samowolnego porzucenia roboty w ciągu więcej niż 3 dni, 9) częstego lub długiego aresztu i 10) niezdolności do pracy, do której się najął.

Robotnik może porzucić zajęcie, uprzedziwszy gospodarza: 1) jeżeli warunki dotyczące płacy i utrzymania nie są ściśle wypełnione, 2) jeżeli przeciążają go pracą, 3) jeżeli pracodawca, osoby z jego rodziny lub zarządzające gospodarstwem zelżyły go czynnie, 4) jeżeli z powodu choroby (lub robotnica — z powodu brzemienności) nie może wykonywać powierzonych mu zajęć, 5) w razie nieprzewidzianych okoliczności, zmuszających do powrotu do domu, 6) jeżeli warunki pracy szkodliwe są dla zdrowia, lub 7) w mieszkaniu przeznaczonem dla robotników znajdują się zaraźliwie chorzy.

Art. 64 zawiera ważny bardzo dodatek: robotnik może rozwiązać umowę, chociażby pozostał winien pracodawcy pewną sumę, jeżeli tylko istnieją warunki określone przez prawo dla rozwiązania kontraktu.

Po rozwiązaniu umowy pracodawca winien natychmiast zwrócić robotnikowi paszport, w przeciwnym bowiem razie za każdy dzień przetrzymania musi mu zapłacić podwójną płacę dzienną, według cen miejscowych, istniejących w danej chwili i oprócz tego podlega odpowiedzialności karnej.

Jeżeli pracodawca przy rozwiązywaniu umowy nie odda robotnikom należnej im płacy, to sąd ma prawo przysądzić na rzecz tych ostatnich, oprócz należności właściwej, jeszcze specyalne wynagrodzenie, rozmiar którego nie może jednak przewyższać podwójnej sumy całego długu.

Streściliśmy najważniejsze przepisy głównej części ustawy; dalszy ciąg jej traktuje o szczegółach formalnych, których w skróceniu podawać niema żadnej racyi. Czytelnicy, którzy zechcą dokładnie zapoznać się z przepisami formalnymi, muszą przeczytać ustawę całkowicie, podały ją już zresztą pisma codzienne.

J. P.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Po chwilowem ożywieniu, jakie przyniósł zjazd w Gasteinie, w dziedzinie polityki teraz cisza taka, że dzienniki rozwodzą się obszernie nad poselstwem marokańskiem, które przybyło do Berlina, lub nad nieporozumieniem, jakie wynikło między papieżem i Francyą, z powodu tego, że Leon XIII mianował w Chinach nuncyusza, kiedy dotychczas obrona katolików w tym kraju należała do posła francuskiego. Nawet wielki meeting robotników w Brukselli zawiódł oczekiwania dziennikarskie, odbył się bowiem spokojnie, chociaż przyjmowało w nim udział 25,000 ludzi.

Najważniejszą wiadomością z ubiegłego tygodnia jest oświadczenie komisarzy tureckich, wyznaczonych do obrad nad rewizyą statutu organicznego Rumelii. Powtórnie i stanowczo oznajmili oni, że sprawę całą rozpatrywać będą tylko na podstawie protokółu mocarstw, które przyjęły udział w t. z. konferencyi, tj. mniej więcej na podstawie traktatu berlińskiego. Nie może być przeto mowy ani o zjednoczeniu całkowitem, ani o zgromadzeniu wspólnem dla obu krajów, Rumelia pozostać winna nadal prowincyą turecką, sprawiedliwość wymierzana być musi imieniem sułtana, na granicy tureckiej nie mogą być pobierane cła bułgarskie. Komisarze bułgarscy oświadczyli znowu, że podstaw tych przyjąć nie mają prawa i posiedzenia komisyi zawieszono. Zmiana usposobienia Porty stoi, jak utrzymują, w związku z powrotem do Konstantynopola posła rosyjskiego p. Nelidowa, który wręczył sułtanowi własnoręczny list Cesarza. Przyjęcie posła było bardzo serdeczne i nazajutrz statki torpilowe rosyjskie, które czekały u wejścia do Dardanelów, otrzymały pozwolenie przepłynąć cieśninę dla połączenia się z flotą czarnomorską.

Cesarz austryacki ogłosił list do Tiszy; w piśmie tem widocznem jest staranie uspokojenia drażliwości węgierskiej, chociaż ton jego jest niby to groźny i stanowczy. Bądź co bądź, list daje wyjaśnienie, że zmiany w wojsku dokonane były ze względów służbowych, tłomaczenie to umiarkowane dzienniki węgierskie uważają za dostateczne zadośćuczynienie, większość jednak prasy nie zmienia tonu i domaga się ciągle oddzielenia armii narodowej w sposób tak ostry, że przekłady tych artykułów w dziennikach niemieckich i polskich prokuratorya austryacka skonfiskowała.

Mowa Salisbury'ego, wygłoszona na objedzie u lorda majora Londynu, w której pierwszy minister oświadczył, że sprawa irlandzka może być załatwioną jedynie przy jak najściślejszem utrzymaniu jedności państwa, wywołała w Irlandyi powszechne oburzenie. Dzienniki narodowe wzywają lud do walki na noże. Poruszenie umysłów i namiętności uwydatnia się coraz silniej, w Belfascie, gdzie ludność katolicka irlandzka zmieszana jest z protestancką wybuchły znowu rozruchy i walka uliczna przybrała szersze rozmiary. W innych miastach odbyły się również bójki uliczne. Parlament angielski zbierze się 19 b. m., wtedy zapewne sprawa irlandzka wystąpi na widownię, zwłaszcza że unia narodowo-liberalna tj. stronnicy Gladstone'a, oświadcza, że podtrzymuje nadal swój program w całości, na razie zaś zażąda billu, zniżającego stopę czynszu dzierżawnego. Wniosek ten może mieć poważne ustępstwa, gdyż w sprawie tej Chamberlain i jego przyjaciele głosować będą za billem, gabinet więc, opierający się na słabej bardzo większości, łatwo odnieść może porażkę.

We Włoszech wzmaga się cholera, dotychczas według doniesień urzędowych zmarło przeszło 10,000 osób. Epidemia zaczęła się także szerzyć w Tryeście i nawet na terytoryum chorwackiem.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z NIEMIEC.

I.

Drezno, 1886, sierpień.

Parsifal i Trystan w Bayreucie. — Jubileusz uniwersytetu hejdelberskiego.

Mając zamiar udać się na uroczystość jubileuszu hejdelberskiego, postanowiłem zboczyć nieco z drogi, raz jeszcze w Bayreucie posłuchać Parsifala i poznać Tristana. Nie żałuję tej wycieczki, bo staranność w przedstawieniu oper Wagnera posunięto tam w roku bieżącym do jeszcze wyższego niż dawniej stopnia; zawdzięczać to winniśmy zapewne zabiegom pani Kosimy Wagnerowej, która osobiście reżyseryą się zajmowała. Skład śpiewaków i orkiestry pozostał prawie bez zmiany, jak w latach poprzednich.

Nie będę się na nowo o Parsifalu rozpisywał; Tristan, którego po raz pierwszy

---

cą — pozwalać owieczkom moim całować mię po rękach, oto los, który mnie, dziecko jeszcze, wydawał się godnym najwyższej zazdrości. Z biegiem czasu wcześnie rozbudzona duma zmieniła się na niepomierną żądzę zaszczytów. W wieku, w którym młodzieńcy myślą tylko o kobietach, zabawach i przyjemnościach, jam się poświęcił naukom, marząc jedynie o tem, aby się wynieść wysoko i odegrać jakąś ważną rolę. Tylko w zawodzie duchownym mógłem urzeczywistnić moje ambitne rojenia; to też niezmiernie niepożądanymi były dla mnie zamiary mego ojca, który jako z jedynego syna uczynić ze mnie chciał krzewiciela swego rodu. Być nieznanym szlachcicem, żyć tak, jak mali hrabiowie mego imienia, bez sławy i rozgłosu — wydawało mi się niegodnem ambitnego człowieka. Ale kochałem mego ojca, ten zaś prosił mię, abym choć spróbował światowych przyjemności i towarzystwa; inaczej—byłbym całe życie przebył jak samotnik; czego się nie skosztuje, tego się nie pożąda. Obiecałem ojcu zastosować się do jego woli, ale półroczna próba nie dała pożądanych owoców: nic nie zdołało zachwiać mną na raz obranem stanowisku. Żądza ta nie opuściła mię nawet wówczas, gdy w ogrodzie, pogrążonym w świetle miesięcznem, Klara, rumieniąc się wstydliwie, dała mi do zrozumienia, iż życzenie mego ojca było również jej życzeniem. Słysząc wyznanie to, o małom nie zemdlał. Zamilkłem i serce po raz pierwszy w życiu biło mi gwałtownie w piersi. Klara milczenie moje wzięła za dowód pomieszania, przechyliła się więc miłośnie ku mojej skroni, najbardziej miękkim swym głosem powiedziała, iż powinienem żyć dla ojca mego i dla niej, bo oni mnie oboje kochają niewysłowienie. Na jedną chwilę zachwiałem się, ale na jedną chwilę tylko. Natychmiast zapanowałem nad sobą i, powiedziawszy Klarze, iż szczęście miłości złożyć muszę na ołtarzu wielkich przeznaczeń — uciekłem.

— Potem była już ona zimną, jak marmur, nie dostrzegała mię; zdawało się, iż przestałem dla niej istnieć. Niekiedy chłód jej budził w mem sercu coś nakształt miłości; nie mógłem wówczas oderwać oczu od pięknej dziewczyny. W głębi duszy spodziewałem się, że Klara jeszcze raz ofiaruje mi swą rękę, lecz spodziewałem się napróżno. Prosić o to, co mi ofiarowywano i co ja odrzuciłem — zdawało mi się niegodnem mężczyzny. Szatan pychy nie opuszczał mię również: tem lepiej — wołał on we mnie — teraz przed tobą los świetny, cel wymarzony. Wyrzekłem się więc miłości i zostałem księdzem.

— Głupiec! — szepnął Ornatelli.

— Trzykrotny głupiec, mówiłem sam sobie — odparł kardynał Beni, gdy Klara wkrótce po tem wstąpiła do klasztoru, ale już było za późno.

— Jesteś pan zadowolonym? — zapytał Ornatelli, ciągle jeszcze trzymając rękę na oczach.

— Nie. Są ludzie, którzy ani szczęścia ani zadowolenia odnaleźć nie umieją; do liczby ich ja należę: jako małżonek Klary nie byłbym zupełnie szczęśliwym — brakowałoby mi owej wymarzonej świetności, jako księcia kościoła.

Zatrzymał się. Ornatelli myśl jego wypełnił:

— Jako księciu kościoła — brakuje wam Klary.

Nastąpiło długie milczenie.

(D. n.).

słyszałem na scenie, wydał mi się trudnym do zrozumienia, szczególnie po niedostatecznem obeznaniu się z wyciągiem fortepianowym i przy jednokrotnem wysłuchaniu. Tekst jest śliczny, oparty na legendzie średniowiecznej, przekazanej niemcom przez francuzów. Muzyka, jak zwykle Wagnerowska, miejscami porywająca, a czasami trochę rozwlekła. W porównaniu z Parsifalem, Tristan robi wrażenie dość wydatnego przeciwieństwa. O ile w ostatniem swem dziele Wagner spokorniał i ustąpił z wielu uparcie dawniej bronionych stanowisk, a przez to stał się jasnym, dostępnym i słodkim; o tyle w Tristanie przemawia on z całą wybitnością i szorstkością wysnutej przez siebie teoryi muzyczno-dramatycznej; tutaj jest dumnym „intransigentem," drwiącym sobie z przepisów dotychczasowych i śmiało w przyszłość kroczącym, w Parsifalu zaś czujemy złagodniałego starca, który nic nie stracił z dzielności i oryginalności, ale postanowił wrócić raz jeszcze do wspomnień młodości, ustąpić nieco smakowi ogółu i pożegnać łabędzim a słodkim śpiewem sztukę, którą w chwilach męskiego zapału chciał zburzyć i na nowo odbudować.

26 lipca na przedstawieniu Parsifala widziałem Liszta, siedzącego na zwykłem miejscu, w ostatnim rzędzie krzeseł, pod arkadami, otoczonego gronem dam-wielbicielek, wśród których zwracał powszechną uwagę młody Zygfryd Wagner, dziwnie do ojca podobny. Patrząc na czerstwego i rumianego starca, nikomu pewnie na myśl nie przyszło, że w kilka dni potem Liszt skończy żywot pod tym samym dachem willi „Wahnfried," gdzie Wagner życia dokonał.

Po kilkodniowym wypoczynku w uroczym, chłodno-cienistym Wildbadzie, wieczorem 1 sierpnia przybyłem do Hejdelberga. Już na dworcu kolei niesłychany natłok zapowiadał, że dzieje się tu coś niezwykłego. Pierwszy rzut oka na miasteczko zapowiadał uroczystość: mnóstwo chorągwi badeńskich, niemieckich i innych, obfitość zieleni, kwiatów i kobierców, pokrywających wszystkie wolne na murach miejsca, obecność zaraz na wstępie biura mieszkaniowego i informacyjnego — wszystko to nadawało cichej zwykle mieścinie niezwykłą jakąś postać.

Ominęła mnie troska poszukiwania lokalu: szanowny rodak nasz, profesor uniwersytetu dr Jurasz oddawna ofiarował mi szczerą swą gościnność. Pod jego też dachem zastałem o jeden dzień wcześniej przybyłego dra Rembowskiego z Warszawy, który prawdziwie królewskim darem rzadkich i cennych książek starych, treści prawno-politycznej polskiej wzbogacił księgozbiór hejdelberski w dniach jubileuszowych. Dzięki uprzejmości gospodarza naszego, mieliśmy już zapewnione karty wstępu na wszystkie prawie uroczystości. Pośpieszyliśmy je odebrać z biura i dostać zarazem medal i kokardę z kolorów badeńskich, które sobie przypinano na piersiach na znak, iż się dawniej było studentem hejdelberskim, a jest gościem obecnie.

Uprzedzając przebieg całotygodniowych festynów, powiem z góry iż wszystko odbyło się pomyślnie i według programu. Deszcz był wstrzemięźliwy, słońce hamowało swe promienie; nie zalamała się żadna estrada, nikt życiem nie przypłacił natłoku na kolejach; słowem żaden przykry wypadek nie zachmurzył pogody pięknego obchodu.

Jedna rzecz tylko raziła, i to nietylko nas, cudzoziemców, ale liberalniejszych gości i także dzienniki niemieckie: oto że uroczystości wyłącznie cywilizacyjnej i międzynarodowej starano się, gdzie można było, nadawać charakter narodowo-niemiecki; wielki książę badeński, zarazem rektor uniwersytetu, noszący się zwykle po cywilnemu, występował w mundurze, chociaż większość gości spodziewała się ujrzeć go w auli i kościele przybranego w togę rektorską, coby z pewnością odpowiedniejszem i ładniejszem było; obecność cesarzewicza niemieckiego, ustrojonego w mundur generalski, jeszcze więcej jakiegoś militarnego charakteru uroczystości dodawała. A jeżeli już mam od razu wszystkie skargi wynurzyć, to tu zaraz i inne wypisuję, aby za to w dalszym ciągu módz tylko chwalić.

Otóż niepolitycznem było w mowie profesora Kuno Fischera, iż parę razy zbyt ostremi wyrazami wspomniał o barbarzyństwie francuzów w końcu XVII w., gdy Palatynat splądrowali i zamek heidelberski spalili: wyrażenie „jak drapieżne zwierzęta" niestosownem było wobec słuchających czterech akademików francuskich, delegatów Instytutu. Wszakże niedługo przed najazdem francuskim również dzikiego napadu dopuścili się austryacy pod Tillym: po nich jednak mówca jakoś gładko się prześliznął, a byli winniejsi, bo rodaków napastowali. Nie wypadało także mowy rozciągnąć do niesłychanej długości 3 godzin...

To wreszcie zganić muszę, że zwyczajem nieraz w podobnych razach praktykowanym, rozdawano zbyt wiele zaproszeń, skutkiem czego, jak np. na zamku 3 sierpnia wieczorem, tłok bywał nieznośny i dostawało się więcej szturchańców niż miłych wrażeń...

Odwracam teraz medal na dobrą stronę, i w krótkich słowach opowiem przebieg uroczystości.

Miejscem ich były: aula uniwersytecka, która, mówiąc nawiasem, do niedawnego czasu odznaczała się niepospolitymi brudami, obecnie zaś została ślicznie przystrojona, również jak i przedsionki, korytarze i wschody uniwersytetu; dalej: kościół (protestancki), zamek i ogromna sala drewniana, zbudowana ad hoc nad brzegiem Nekaru, ładnie przystrojona, oświetlona elektrycznością i mieszcząca przeszło pięć tysięcy osób.

W niej wieczorem 2 sierpnia zebrała się spora ilość gości; przy niezbędnem piwie, odgłosie orkiestry i hałaśliwych pogadankach upływały tam pierwsze chwile spotkania się dawnych i nowych kolegów.

Nazajutrz o 11 przed południem, po uroczystem nabożeństwie w kościele, odbył się najważniejszy akt w auli: przyjęcie deputacyj uniwersytetów i ciał uczonych niemieckich i zagranicznych przez rektora, czyli w. księcia. Aula hejdelberska zaledwie kilkaset osób pomieścić może; gości zaś przybyło kilka tysięcy; oczywiście tedy niewielu było wybranych. Ponieważ nie reprezentowałem niczego i nikogo, nie mogłem się dostać na ten obchód. Wiem z opowiadań szczęśliwszych ode mnie świadków naocznych i z dzienników, że akt w auli odbył się poważnie i pięknie. Przemowa w. księcia przyjemne uczyniła wrażenie; ponieważ obecnym był był następca tronu niemieckiego, więc się rozpoczęła od słów: najjaśniejszy cesarzewiczu (durchlauchtigster Kronprinz), najwyżsi, wysocy, szanowni goście! Zakończyła się zaś życzeniem, aby pod opieką rodu książęcia wszechnica kwitła wspaniale i nadal, oraz wręczeniem prorektorowi pamiątkowego medalu na złotym łańcuchu, który odtąd ma nosić w dniach uroczystych.

Wieczorem w. książę przyjmował gości, opatrzonych kartami, na zamku. Oświetlono dziedziniec jego tysiącem kolorowych lampek, a taras elektrycznością, umieszczono na nim orkiestrę i beczki z piwem; jedną z sal dolnych obrócono na przybytek dla honoratiorów. Z początku goście stanęli kołem u wnijścia dziedzińcowego, a w. książę, żona jego i cesarzewicz rozmawiali z bliżej stojącemi osobami; potem odeszli do sali, zaprosiwszy tam najwyższych dostojników obecnych, oraz profesorów heidelberskich i ich żony; tam się odbywała prezentacya gości wybranych; na dziedzińcu i tarasie parę tysięcy zwyczajnych śmiertelników słuchało muzyki, piło piwo, oblewało się wzajemnie, niosąc je wśród natłoku i przypatrywało się przez okna, co robili wielcy świata tego w sali.

Nazajutrz (4 sierpnia) profesorowie oraz dygnitarze miejscowi i przybyli zgromadzili się w auli, a ztamtąd uroczystym pochodem, w towarzystwie studentów przeszli do kościoła; wkrótce po nich przybyli w. książę z żoną, cesarzewicz i kilku książąt badeńskich, ministrowie (w tej liczbie Gossler z Berlina) i zajęli miejsca zaszczytne w środku nawy; profesor K. Fischer wstąpił na umyślnie ustawioną dlań ambonę i odczytał długą (o jakże długą!) mowę, w której opowiedział dzieje Hejdelberga, wszechnicy i jej księgozbioru. Mowa ta jest już wydrukowana *) i należy do najlepszych pism, w znacznej liczbie ogłoszonych z powodu jubileuszu.

Nie mam zamiaru w treść jej wchodzić; podniosę jednak tylko ustęp z dziejów biblioteki. Na początku XVII w. doszła ona wielkich na owe czasy rozmiarów; posiadała przeszło 3,000 rękopismów i z górą 5,000 tomów drukowanych. Roku 1622 liga katolicka zdobyła Hejdelberg; książę bawarski, naznaczony gubernatorem Palatynatu, darował księgozbiór hejdelberski papieżowi, uważając go za swą zdobycz wojenną! Papież Grzegorz XV wdzięcznem sercem dar przyjął; mimo dopominania się późniejszych katolickich już władców Palatynatu następcy jego zagrabionych ksiąg nie zwrócili.

Teraz dopiero, przez wzgląd na zbliżenie się niemiecko-papieskie, uniwersytet (to jest rektor jego, wielki książę) zaprosił papieża na jubileusz; wielkie wrażenie wywarła depesza, donosząca, że Leon XIII wysyła nuncyusza do Hejdelberga. Będzie to niezawodnie kardynał jakiś i przywiezie obietnicę zwrotu biblioteki — tak mówiono w Hejdelbergu i w Niemczech. Widziałem kardynała! — powiada jakiś poczciwy mieszczuch — stary, w todze aksamitnej karmazynowej, w takiejże imfule, a wszystko suto złotem wyszywane; jechał dorożką i trzymał coś w ręku, może pastorał. Bój się boga, pewiadają mu na to, to nie kardynał, to rektor jakiegoś uniwersytetu niemieckiego, w todze i berecie, z berłem w ręku; spieszył na akt do auli. Inni znowu widzieli kardynała-legata w płaszczu fioletowym, a niektórzy w białym.

Akt w auli rozwiał wątpliwości. Przybył rzeczywiście legat, ale nie był ani kardynałem, ani nawet księdzem; jest to wysoki młodzieniec, z czarną brodą, we fraku i białym krawacie, nazywający się signor Enrico Stephenson, syn bibliotekarza watykańskiego; przywiózł rzeczywiście coś dotyczącego księgozbioru palatyńskiego, ale co?... szczegółowy katalog i opis ksiąg i rękopismów zagrabionych dwieście kilkadziesiąt lat temu.... Beatus qui tenet! A ponieważ posłów nie ścinają, owszem nagradzają czasem, więc signor Enrico mianowany został za sporządzenie tego katalogu doktorem filozofii uniwersytetu hejdelberskiego *honoris causa.*

Przed i po mowie Fischera wykonywano piękne utwory muzyczne na głosy i narzędzia.

Po południu dygnitarze pod wodzą w. księcia zgromadzili się w resursie (w Hejdelbergu nazywa się to „Muzeum") na ucztę, wśród której wygłoszono niejedną mówkę i wzniesiono liczne przezdrowia; mowa słynnego Helmholtza z Berlina, nie-

*) Dr Kuno Fischer, *Festrede zur 500 jährigen Jubelfeier der Ruprecht-Karls-Hochschule zu Heidelberg.* Heidelberg, 1886, str. 98, w 8-ce. Mówca otrzymał tegoż dnia tytuł Ekscelencyi; był już przedtem rzeczywistym radcą tajnym, oraz kawalerem wysokich orderów. Nie wszyscy filozofowie brzydzą się tego rodzaju odznaczeniami!

gdyś profesora hejdelberskiego, najwięcej się podobała.

We czwartek (5 sierpnia) w kościele, po wysłuchaniu pięknej muzyki, przystąpiono do ogłoszenia nazwisk nowokreowanych doktorów honorowych (honoris causa); dziekan każdego wydziału przemawiał krótko i wymieniał nazwisko oraz główne zasługi osób zaszczytem tym odznaczonych. Rektor (w. książę) został doktorem teologii i prawa, za pomyślne załatwienie sprawy kościelnej w badeńskiem; oprócz niego udzielono tytułów doktorskich ze stu osobom z różnych zawodów i krajów; z cudzoziemców anglicy i amerykanie najwięcej, francuzi najmniej byli uwzględnieni.

Nazajutrz, wśród najpomyślniejszych warunków pogody, odbył się najpiękniejszy ze wszystkich obchód jubileuszowy: pochód historyczny, mający wyobrażać pięć wieków istnienia wszechnicy, tak ściśle związanej z dobrymi i złymi losami Palatynatu, że jej dzieje były zarazem historyą krainy. Trudno w krótkich słowach odmalować śliczną panoramę, niby duchów przeszłości, mknących przed oczami w całej pełni życia i strojów. Ubiory, broń, powozy, słowem wszystkie szczegóły materyalne zachowane były z największą, rzec można pedantyczną wiernością. Profesor Karol Hoff, główny kierownik całego pochodu, pilnował historyczności każdego guzika, każdej sprzączki i nic nie przepuszczał bez sprawdzenia. Utrudniało to wprawdzie przygotowania, ale stało się rękojmią zupełnej prawdziwości obrazu. Wszystkie tkaniny były prawdziwe, niektóre umyślnie podług dawnych wzorów wykonane; złoto i srebro; powierzchownie przynajmniej, również szczeremi były. Wymagania te profesora z Karlsruhe podniosły kosztowność strojów i rynsztunków do wysokiego stopnia; ale znalazło się więcej niż potrzeba ochotników, którzy z własnej kieszeni koszta ponosili, byle się ukazać w pochodzie, na który sto tysięcy oczu patrzyło.

Najwięcej pochopnymi do tego okazali się anglicy i amerykanie. Ubranie pewnej angielki kosztowało ją ośm tysięcy marek; kilka dam wydało po trzy do pięciu tysięcy. Bo jakżeby córy Albionu znieść mogły, aby Elżbietę angielską, żonę kurfirsta Fryderyka V (1613) i dwór jej kto inny, niż angielki przedstawiać miały! W innych grupach niemało też było anglików i amerykanów.

Pochód rozpoczynał się od herolda, kończył się na orle nowego cesarstwa niemieckiego, które sobie herb ten annektowało. Przemknęły przed oczami naszemi nasamprzód urodziny wszechnicy: cały szereg postaci współczesnych Rupertowi (koniec XIV w.): mnisi, zakonnice, duchowni, rycerze, profesorowie, sam kurfirst i wreszcie wóz uniwersytetu, ciągniony przez sześć koni, ozdobiony siedzącą u góry dziewicą, wyrażać mającą „universitas“ i stojącemi u dołu czterema, symbolizującemi cztery wydziały: pietas, justitia, sapientia i veritas.

Wieku XV nie potrafiono inaczej uwidocznić, jak przedstawiając kurfirsta, który pobił i wziął do niewoli najbliższych swoich sąsiadów; rycerstwo jego ślicznie wyglądało na tle grupy mieszczan i mieszczanek witających zwycięzców; śliczna Klara Dettin, kochanka kurfirsta, podąża za wojskiem na pięknym koniu.

Okres następny, najważniejszy w dziejach wszechnicy i kraju, zeŚrodkował się około sympatycznej postaci Ottona-Henryka (druga połowa XVI w.); książę ten, w stroju hiszpańskim, jechał otoczony gronem jezdnych rycerzy i dam na koniach, za nim toczył się wóz uniwersytetu, a na nim siedzieli profesorowie nowej nauki — reformacyi; obok wozu szli Melanchton i Piotr Boquin, za nim mieszczanie i drugi wóz, z godłami budownictwa, na pamiątkę najpiękniejszej części zamku hejdelberskiego, która Ottonowi-Henrykowi wzniesienie swe zawdzięcza.

Dalej rozwinął się obraz szczęśliwego żywota Palatynatu: wóz „Palatia,“ ślicznie ustrojony, z piękną niewiastą pod baldachimem, lud, wóz Bachusa i Cerery, obywatele piekła, Sylen, Wenera, wielka beczka hejdelberska w kopii zmniejszonej, dalej kurfirst Fryderyk i żona jego angielka, oraz ogromny orszak konno, pieszo i w powozach.

Jako przeciwieństwo zaraz dalej żałoba: czarni rycerze cesarscy i szwedzcy, wyrażający wojnę trzydziestoletnią, a za nimi koń w czerni, bez jeźdźca, symbol smutnej dla Hejdelberga pamięci wojny z Francyą (koniec XVII w.).

Potem znowu wesołe życie dworskie — ale tylko dworskie, bo uniwersytet upadł, a kraj cierpiał po wojnach: sokoły i trofea myśliwskie, ogromna psiarnia, strzelcy, jeleń i dzik na wozach. Wreszcie wskrzeszenie wszechnicy na początku wieku bieżącego, wóz jubileuszowy, korporacye studenckie z czasów wojen napoleońskich i obecnych, a na końcu zjednoczona (?) rzesza niemiecka, reprezentowana przez sztandar orła czarnego w ręku konnego herolda. Coby ten sztandar cesarstwa miał za związek z dziejami uniwersytetu hejdelberskiego, nie zdołałem zgadnąć.

Na tym pochodzie zakończyły się właściwe uroczystości jubileuszowe. Tegoż dnia wieczorem odbył się ogromny „komers“ w sali drewnianej, a w następną niedzielę miał się odbyć festyn na zamku dla uczestników pochodu: wszyscy oni mieli tam wystąpić w strojach piątkowych, zapowiedziano też oświetlenie bengalskie zamku od strony zewnętrznej, oraz wielkie ognie sztuczne. Odjechałem z Hejdelberga wieczorem w dzień pochodu, na tem więc muszę obchód jubileuszowy zakończyć.

Zostawia on w pamięci uczestników tę miłą pamiątkę, że w zbrojnej Germanii znajdują się jeszcze zakątki, gdzie w imię myśli wyższej zgromadzają się ludzie z ziem dalekich, bratają się z sobą i znajdują gościnne przyjęcie u księcia, który jest zarazem podwójnym doktorem i rektorem uniwersytetu.

Jan Karłowicz.

BADANIA NAUKOWE.

PSYCHOLOGICZNE PODSTAWY RELIGII.

II.

Określiwszy znaczenie mytów, Lesbaseilles przechodzi do zbadania psychologicznej podstawy kultu. Jeżeli myty są jakby uosobieniem warunków postępu i uspołecznienia, to łatwo przewidzieć, co znaczy hołd im oddawany, co znaczą rozmaite postacie kultów, rozmaite obrzędy: „obrzęd jest przeto uzewnętrznieniem sprawy podmiotowej, odbywającej się w zakresie wzruszeń i pragnień osobnika, a towarzyszących mytycznemu obrazowi w świadomości zbiorowej, jest to, w pewnej mierze, wyładowanie się nerwowej i mięśniowej energii, nagromadzonej w ustroju społecznym; jest to przedmiotowy wyraz stanu szczególnego napreżenia, w jaki wprawia go wyobrażenie jego własnego życia.“ Innemi słowy, celem istotnym kultu jest dla człowieka: „naśladować swoją własną działalność uspołeczniającą, dostarczać sobie widoku warunków własnego istnienia i pobudzać się wzajem do ich urzeczywistnienia, przywołując jednocześnie w pomoc przyrodę i wzywając jej przychylności.“ Ostatecznie kult jest to „sama kultura — uświęcona i wzywana.“

Jako przykład takiego tłomaczenia zjawisk religijnych, a zarazem jako dowód przemawiający na korzyść jego teoryi, przytacza autor starożytne obrzędy czcicieli ognia. Wiadomo, iż czynności w czasie nabożeństwa ich wykonywane, nie były niczem innem, jak tylko odtworzeniem *dawnego sposobu rozniecania ognia* (wiercenie suchego drzewa w zagłębieniu kamiennem itp.).

W ten sposób w rozwoju religii odróżnia Lesbaseilles trzy okresy. Naprzód widzimy pierwszą fazę, w której człowiek działa wprost i jedynie, jako istota społeczna. Uspołecznienie, jako zjawisko biologiczne, musi w pojęciach naszych niezbędnie poprzedzać religię — tak samo jak wszelką rzecz poprzedzać musi wyobrażenie rzeczy. W tym pierwszym okresie przedreligijnym przystosowanie się jest bezwiednę i instynktowne; „człowiek nie wie jeszcze o swojej własnej działalności i nie zna praw jej wykonywania.“ Gdy w takich okolicznościach „wytworzy się najpierwotniejsza równowaga społeczna, wówczas zastanawiając się nad nią, zaczyna on w niej odróżniać pewne szczególnie ważne pierwiastki, zaczyna rozpoznawać w nich niezbędne warunki swego życia. Warunki te człowiek uzewnętrznia... i uosabia. Takiem jest zadanie okresu drugiego. Wreszcie następuje trzeci: pierwiastek doniosłości praktycznej, uprzedmiotowiony i usymbolizowany za pomocą mytu, staje się przedmiotem czci religijnej (kultu). Tak więc: 1) czyn społeczny — przyrody jakiejkolwiek; 2) symbol, przeobrażający go w myt; 3) kult — zwracający się bezpośrednio do symbolu, pośrednio zaś do *czynu*, którego przyrodę wyraża i uświęca.“

Taką drogą autor raz jeszcze jest w stanie uznać w religii wypadek szczególny przystosowania się. Ten wynik jego dochodzeń i wnioski, jakie z nich wyprowadza, dają mu ostatecznie możność streszczenia teoryi w sposób następujący:

Początków religii szukać należy w twierdzeniach psychologii, nie zaś w danych filologii kosmologicznej, ani tem mniej jeszcze w danych metafizyki. Jedynie tylko prawa umysłowego rozwoju mogą objaśnić nas o przyrodzie, wartości i znaczeniu wierzeń religijnych, uważanych jako czynniki rozwoju społecznego. Podstawa objawów religijnych nie jest ani podmiotową, ani wyobrażeniową, lecz przedmiotową i wchodzącą w zakres postępków (pratique) — a to zgodnie z wielkiem prawem psychologicznem, podług którego wszelki objaw umysłowy podporządkowany jest objawom działalności. Myty są uosobieniem wewnętrznych albo zewnętrznych warunków zbiorowego przystosowania się; kulty zaś — uświęceniem i uprzedzaniem w duchu (anticipation) tychże warunków. Religia jest rzeczą pożyteczną na tej samej zasadzie, na jakiej wogóle bywa pożyteczną wszelka świadomość; w życiu ludzkości pełni ona czynność określoną, nie uchylając się od wspólnych praw duchowej ustrojowości i nie mogąc żywić uroszczeń do nieograniczonego okresu trwania. Jednem słowem, jeżeli nauka o religiach nie zadawalnia się jedynie opisywaniem i klasyfikacyą, jeżeli nadto pragnie tłómaczyć i wyrokować, to powinna z rzeczy samej nie zaś z imienia tylko stać się częścią nauki o ustrojach, winna postawić sobie takie same zagadnienia i rozstrzygać je drogą takich samych metod.

Oto istotna treść poglądów Lesbaseilles'a. Rozpatrzenie ich stron dodatnich i ujemnych niemało mogłoby obudzić zajęcie. Poświęćmy rozbiorowi ich trochę uwagi.

Zasługą autora jest przedewszystkiem zupełny brak doktrynerstwa: nie zapatruje się on wzorem mniej wykształconych umysłów na religię, a na zbiór nierozsądności, ani też nie widzi w niej, śladem lekliwej metafizyki, jakiegoś tajemniczego mo-

locha, któremu śmielej zaglądać w oczy nie wolno pod karą śmierci. Niemniej ważną jego zasługę stanowi też próba związania wierzeń religijnych z panującą dzisiaj powszechnie nauką o ewolucyi, z zasadą *społecznego przystosowania się*. Pod tym względem Lesbasceilles posuwa się dalej od samego twórcy ewolucyonizmu, od Herberta Spencera. Nakoniec ważnem jest i godnem uznania uwzględnienie przez autora pierwiastków bezwiednych w sprawie kształtowania się mytów i kultów; tutaj wszakże, dzięki pewnej jednostronności, ułatwia on nieznacznie dostęp do swojej teoryi kilku błędnym twierdzeniom i poglądom. Rozbiorem ich zajmiemy się obecnie.

Ze stanowiska psychologii zasadniczym błędem teoryi Lesbaseilles'a jest zbyt głębokie oddzielanie pierwiastków wyobrażeniowych od pierwiastków woli. Jego „wielkie prawo psychologiczne“ o podporządkowaniu wyobrażeń postępkom jest nie dość jasnem i nie dość prawowitem rozciągnięciem tej powszechnie znanej zasady psychologicznej, iż „odruch stanowi najpierwotniejszy typ wszelkiej duchowej działalności.“ Jakkolwiek zasadzie tej nic zarzucić nie można, to jednak takie jej rozszerzenie, jakiego dopuszcza się autor, uważać trzeba za niedość uprawnione.

„Nie w przedmiotowej więc treści rzeczy zewnętrznych, ani też w przyrodzie umysłu istoty rozumowej znaleźć można podstawę“ podziału duchów na złe i dobre; „jedynie tylko zawierać się ona może w dziedzinie woli i spraw ludzkich“ — powiada autor. Bezwątpienia: aby uznać zły albo dobry wpływ jakiegoś czynnika, człowiek pierwotny musiał go na sobie doświadczyć — pośrednio lub bezpośrednio, musiał przeto spotkać się z tym wpływem w *wykonywaniu jakiejś czynności*; prawdzie tej nie przeczyła nigdy żadna „kosmofilogiczna“ teorya religii. Z drugiej wszakże strony w owem „odróżnianiu dobrego od złego,“ niepodobna nie dojrzeć jaknajściślejszej łączności postępków z wyobrażeniem i wpływu *tego ostatniego na pierwsze*. W niektórych zaś wypadkach tylko psychologia kojarzenia się wyobrażeń, tylko zasada wnioskowania przez analogię może nam wyjaśnić istnienie pewnego kultu. Takim jest np. wypadek pierwiastkowego fetyszyzmu, nakazującego dzikiemu człowiekowi zanosić modły do kawałka drzewa lub kamienia, które nie mogą przecież w żaden sposób wpływać na jego losy. Pobudką postępowania jest tutaj oczywiście wyobrażenie innych, istotnie wpływowych czynników przyrody, a nadto *oparte na analogii rozumowanie*, że dany przedmiot (drewno lub kamień) może również prośby wysłuchać i na szczęście lub nieszczęście proszącego wpływ jakiś wywierać. Pominięciem przeto zupełnem wyobrażeń autor o tyle zaszkodził swojej teoryi, o ile przysłużył się jej, wysuwając na pierwszy plan znaczenie pierwiastków woli. Nieprawne rozszerzenie „zasady odruchów“ o tyle mija się ze słusznością, o ile świadomość naszą można i należy uważać za jedną z sił kierujących naszymi postępkami. Wobec pierwszorzędnego jej znaczenia wpływ wyobrażeń na nasze postępowanie staje się jaknajbardziej istotnym. Jeżeli bowiem kojarzenie się ich zawisło w znacznej mierze od stanu naszych uczuć, od popędów i odziedziczonych skłonności, to z drugiej znów strony takie lub inne łączenie się wyobrażeń, oparte na większej lub mniejszej liczbie danych doświadczenia, może wywierać i wywiera potężny nacisk jak nasze *uczucia*, tak nawet na *popędy* i *skłonności*, tak jednem słowem na naszą *wolę*. Wogóle stosunek religii do świadomości, zwłaszcza zaś do świadomości zbiorowej, pojmuje autor opacznie. Do rozbioru tej właśnie najciekawszej części zagadnienia wypada nam przystąpić.

Jeżeli zaznaczenie i kilkakrotne podkreślanie związku pomiędzy powstawaniem religii z jednej strony i działalnością zbiorową społeczeństwa z drugiej poczytać trzeba za największą zasługę autora, to natomiast bliższe wyświetlenie przyrody tegoż związku stanowi najbardziej rażący błąd jego teoryi. Nauka o stopniowem przeobrażaniu się obyczajów i zwyczajów narodowych w obrzędy religijne jest pomysłem świetnym, jakkolwiek nienowym: pogląd ten nawet w naszem ubogiem piśmiennictwie miał już swego rzecznika (Ochorowicz — *Bezwiedne tradycye ludzkości*, Ateneum, 1881). Co więcej, prawdziwem jest również twierdzenie Lesbaseilles'a, że w obrzędy owe wciela się właśnie taka działalność zbiorowa, której wynikiem było lub jest spotęgowanie dodatnich albo osłabienie ujemnych czynników uspołecznienia: obrzędy czcicieli ognia są jednym z licznych prawdy tej dowodów. Nakoniec zaprzeczyć nie można, że przedmiotem czci religijnej bywa zawsze jakiś czynnik tak albo inaczej wpływający na *postęp* i szczęście społeczeństw. Aż dotąd zgadzać się przeto musimy z autorem. Niemniej wszakże głęboką i rozległą musi być nasza z poglądami jego niezgodność.

W systematach religijnych Lesbaseilles widzi nietylko wcielenie ale i *uświadomianie się* czynników społecznego postępu i objawów zbiorowej działalności cywilizacyjnej, jako takiej. Nic nie może dorównać błędności tego poglądu: przeczą mu energicznie nietylko fakty, zaczerpnięte z etnografii, ale, jak to zabaczymy niebawem, sama teorya Lesbaseilles'a.

Prawdą jest, że najgłębszą istotę obrzędów religijnych stanowią często akty jakiejś zbiorowej czynności cywilizacyjnej, ale właściwy, że tak powiemy, *świecki* charakter owej działalności ulega głębokiej zmianie. Prawdą jest, że obrzędy przedstawiają niejednokrotnie zmieniony jakiś obyczaj narodowy, będący i wynikiem i dźwignią społecznego rozwoju i postępu; ale w religii to właśnie *zanika świadomość* pierwotnego znaczenia owych przeobrażonych obyczajów. Co więcej, powiedzieć nawet można, że dany zwyczaj lub czynność tak długo nie mogą się stać obrzędem, dopóki *nie zaginie pamięć o ich logicznym i bezpośrednim związku z kulturą*. Dowodów na to jest taka obfitość, iż tylko niezbędne tutaj ograniczenie ich liczby może być przyczyną zakłopotania.

Używanie narzędzi *krzemiennych* przez człowieka pierwotnego jest wynikiem niskiej jego kultury, stanowiącym wszakże obyczaj powszechny. Wynalazek i znajomość sztuki obrabiania metali zwyczajowi temu każe usunąć się ze wszystkich dziedzin życia codziennego — z wyjątkiem najbardziej zachowawczej — dziedziny obrzędów religijnych: kapłani, składając ofiarę bogom, posługują się *krzemieniem*; po upływie kilku wieków, po *zatraceniu* przez społeczeństwo *świadomości* przyrodzonych przyczyn owego posługiwania się, przybiera ono tajemniczy, a od bóstwa szczególniej lubiony i wymagany charakter *obrzędu*. Natomiast żadna z owieczek, często zaś ani jeden z pasterzy, nie wie nic o pierwotnem cywilizacyjnem posłannictwie krzemieni.

Drugi przykład. Ludzie pierwotni w dniach błogosławionej obfitości i dostatku smarują się tłuszczem wielorybów, fok itp.; gdy są zgromadzeni w większej liczbie, przysługę tę wyświadczają sobie wzajemnie. Narody starożytne tłuszcz zwierzęcy zastąpiły wonnymi olejkami; przyjemność ta, zwłaszcza z nastaniem cięższych czasów, mogła być udziałem tylko jednostek wybranych, jak: kapłani, książęta, wodzowie itp., używanie jej nie przestawało być jednak *zwyczajem* narodowym. Dopiero wówczas, gdy smarowanie się owo utraciło swój pierwotny charakter obyczaju, dopiero wówczas przybrać mogło tajemniczą postać *obrzędu* (sakramentu), dopiero wtedy stać się mogło „namaszczeniem“ lub „pomazaniem.“

Trzeci przykład. Jakkolwiek pobożne biesiady pierwszych chrześcian (agapy) wkraczały już do dziedziny obrzędowej, to jednak związek ich z cywilizacyjną zasadą miłości bliźniego był dla uczestników ich widocznym; niemniej zrozumiałą dla nich była najpierwotniejsza, całkiem przyrodzona owych zgromadzeń pobudka — przypomnienie zbawiciela. Słowem — agapy były raczej pobożnym *zwyczajem* społeczności chrześciańskiej, nie zaś *obrzędem*. Już za życia apostoła Pawła zaczęły one tracić swój dodatni charakter cywilizacyjny: każdy z biesiadników przynosił własne jadło, przez co gwałciło się zasadę równości. Przychodzenie więc na ucztę nie było już tak logicznie uzasadnionem; sama zaś ona przybierała przez to charakter jakiejś tajemniczej obowiązkowości. Dzisiejsza pozostałość tych biesiad pierwotnych — sakrament komunii — w wyjątkowych tylko wypadkach zgromadza większe tłumy u „wspólnego stołu,“ ale i wówczas przygnębiająca tajemniczość i świętość obrzędu najmniej usposabia każdego z wiernych myśleć o czemś innem, niż o zbawieniu własnej tylko duszy, nadto, jak nas poucza kościół, ani jedna z owieczek nie ma widzieć w sakramencie prostej tylko pamiątki i ani jeden z pasterzy za taką go nie uznaje.

Starsza od wielu innych religia żydowska obfituje też szczególnie w potrzebne tu dla nas dowody: zachowywanie koszeru, mycie rąk przed spożyciem pokarmu, niejedzenie mięsa zaraz po mleku, obrzezanie itp., od dawna już i jaknajzupełniej utraciły w oczach prawowiernego żyda swoje pierwotne znaczenie cywilizacyjne (hygieniczne); sądzi on natomiast, iż Jehowa dla jakichś tajemniczych, sobie tylko wiadomych powodów, lubuje się w takim a nie innym jadłospisie, lub sposobach piętnowania wybranego ludu.

Jak dalece w wykonywaniu obrzędów zaciera się wszelka *świadomość* związku ich z postępem i uspołecznieniem widać ztąd jeszcze, iż niektóre (przestarzałe) systematy religijne stają zawsze na straży wszelkiego antycywilizacyjnego zwyczaju, wszelkiego wstecznictwa. Przykładu dostarczy nam tutaj tak zwana prostytucya religijna. W pewnym okresie uspołecznienia i w pewnych jego warunkach jednożeństwo jest czynem anti-społecznym, zaś wspólność kobiet — objawem jaknajbardziej dla społecznego rozwoju dodatnim i pożądanym. Z biegiem czasu ze wzrostem możności zdobycia i wyżywienia większej liczby niewiast, wspólność ich zostaje ograniczoną w czasie i przestrzeni i bywa już tylko przywilejem wybranych. Ostatecznie zaś prostytucya owa, jako tradycyjna spuścizna dawnego uspołecznienia, jako szczątkowy i pozbawiony pierwotnego znaczenia zwyczaj narodu, staje się pewnym rodzajem kapłaństwa (bajadery).

W owem przeobrażaniu się zwyczajów w obrzędy, w przemianie owej można zresztą widzieć wszystkie pośrednie stopnie większej lub mniejszej utraty *świadomosci związku ich z cywilizacyą i postępem*; tworzą się wtedy zwyczaje obrzędowe lub zwyczajowe obrzędy: pierwszych przykładem mogą być igrzyska olimpijskie, drugich — nasze procesye. W ostatnim wypadku forma zewnętrzna obrzędu (chodzenie) utraciła już wprawdzie swój sens pierwotny, ale poczucie *wspólności* zanoszonych modłów nie przestaje się utrzymywać w sercu wędrujących pobożnie owieczek.

Nakoniec, jakem zauważył przed chwilą, sama teorya Lesbaseilles'a staje w sprzeczności z tym jego poglądem, iż w religii *uświadamia* się obyczaj cywilizacyjny. Jeżeli bowiem religia, jak utrzymuje autor, jest już w ustroju społecznym czynnością *ur-*

ganizowaną — to zgodnie z teoryą musi ona być odruchową, a przeto bezwiedną.

Jednem słowem związek religii ze zbiorową działalnością cywilizacyjną jest jaknajbardziej istotnym, lecz ani bezpośrednim, ani, co główna, *świadomym*. Obrzędy nie są świadomem wcieleniem zwyczajów kultury, lecz bezwiednem ich odtworzeniem, są raczej objawem ich szczątkowym. *Uświadamianie się* warunków społecznego rozwoju i postępu *jako takich* na innej odbywa się drodze; w religii uświadamiają się one jako *wyraz pewnego stosunku wiernych do woli bóstwa*; społecznie ważnem to jest o tyle tylko, o ile religia staje na straży *etyki*, nie ma zaś wagi ani w odniesieniu do mytów, ani do kultów. Religia przeto stanowi potężną dźwignię postępu i uspołecznienia o tyle, o ile 1) wielką jest liczba jednostek, którym w szukaniu i zachowaniu warunków społecznego rozwoju nie przychodzi z pomocą społeczna świadomość i 2) o ile nie uświęca szczątkowych objawów przestarzałej moralności. Z tego przeto stanowiska religia przestaje być „biologicznym absurdem“ i, jako objaw społecznego przystosowania, godzi się z teoryą Darwina i z całym wogóle ewolucyonizmem.

J. K. Potocki.

LITERATURA I SZTUKA.

JAN LAM.

II.

Panna Emilia czyli, według późniejszego tytułu *Wielki świat Capowic* (1869) był to pierwszy utwór Lama większej miary i wyraźnego talentu. Jak zwykle na kanwie mizernych, plotkami, intrygami i małościami poplątanych stosunków małego miasteczka galicyjskiego, przedstawił autor historyę rodziny Wentzla Pretzlitschka, *bezirksvorstehera* (naczelnika powiatu), który z czecha przedzierzgnął się w niemca, tropił wszędzie urojonych i rzeczywistych rozbitków „niezmordowanej polskiej partyi przewrotu,“ a jednocześnie łapówkami i szachrajstwami napompowywał sobie kieszeń. Ma on córkę, pannę Emilię, która ze wzajemnością kocha aktuaryusza sądowego Schreyera, o jej rękę zaś stara się zniemczały rusin Sarafanowycz, adjunkt ojca, wstrętny sknera. Pretzlitschek popiera go, bo ten przez swego wuja, mającego wpływy w namiestnictwie, pomaga do duszenia skarg na nadużycia „vorstehera.“ Śród walk, a nawet bójek, między współzalotnikami oraz aktuaryuszem a ojcem jego kochanki, spada niespodziewany dla wielu piorun — namiestnikiem Galicyi zostaje polak, hr. Gołuchowski. Pretzlitschek zrzuca po raz drugi skórę (nazywa się już: Precliczek) i wyznaje, że „właściwie jest polakiem,“ ale ta przemiana nie ocala go przed dymisyą. Zarabia na niej tylko Schreyer, który poślubia pannę Emilię.

Myśl ogólna tej powieści jest dość niewyraźna i rozszczepia się w milionie drobnych ubocznych, w przejeździe rozdawanych podcięć biczem, którym autor tnie na wszystkie strony. Ciągle przerywa on wątek dla wyśmiewania rzeczy i osób, niemających z treścią żadnego związku, ciągle zbacza dla poturbowania jakiegoś dziennika, prawa, radcy miejskiego, literata itd. Lam pomieszczał swoje powieści w gazetach i pisywał je kawałkami z dnia na dzień, przy egzekucyi redaktorów, zecerów i chłopców drukarskich, przy roztargnieniu, dzięki któremu jego bohaterzy w dalszym ciągu osnowy tracili poprzednie a zyskiwali nowe imiona, stąd wynikały nietylko sprzeczności, łatanie, wycieczki od rzeczy, łamaniny w rozwoju charakterów i stosunków, ale często ginęło w rozkawałkowanej robocie pierwotne założenie. Po bliższem jednak rozpatrzeniu można je odnaleźć. I w *Wielkim świecie Capowic* odbił się ślad pewnego zamiaru. Lam nie lubił — inaczej jego uprzedzenia określić trudno — czechów i rusinów. Otóż w postaciach Precliczka i Sarafanowycza chciał widocznie ośmieszyć i napiętnować, jeżeli nie obie te narodowości, to przynajmniej pewne ich wytwory. Wiadomo, że w epoce, poprzedzającej obecny okres życia politycznego Austryi, czesi dostarczali państwu urzędników najpośledniejszego i najokrutniejszego rodzaju, przyjęli oni bardzo czynny udział w tej maszynie ucisku, która tak długo gnębiła ludy palono we wnętrznościach austryackiego Molocha, a między nimi polaków. W daleko mniejszym stopniu, ale również pracowali na tej niwie rusini, na uroszczeniach słusznych i niesłusznych, na rachunkach godziwych i niegodziwych ostrząc swoje noże, zdobyte w służbie rządowej. Nadto zważyć trzeba, że Lam pisał swoją powieść w czasie, kiedy Galicya nietylko pamiętała żywo rany zadane w przeszłości, ale pozostawała pod wrażeniem zawrotu czechów w inną stronę i śmiałego wyzwalania się rusinów z przymusowej małoletności. Przedstawiciela tych ostatnich tak on określa: Pan Johann *von* Sarafanowycz nie celował w filologii słowiańskiej, w Buczaczu musieliśmy mu zawsze pomagać w fabrykacyi *der ruthenischen Ausarbeitung*, a nawet teraz, kiedy znajomość cyryliki i graždanki była mu podwójnie potrzebną, jako jedynemu świeckiemu reprezentantowi narodowości ks. Nabuchowycza w powiecie capowickim, ksiądz wikary obrządku rz. kat. musiał jemu i ks. Łuckiewiczowi z Capowic czytać i tłomaczyć trudniejsze miejsca w *Słowie* (rusińskiem), i raz kiedy szanowny ten organ zaliczył przy jakiejś sposobności jego nazwisko do „rewnijszych borytełej i pokrowytełej narodnosty,“ pan Johann von Sarafanowycz obraził się niezmiernie temi przezwiskami. Dopiero dłuższej argumentacyi ks. wikaremu powiodło się przekonać, że „boryteł“ nie jest ten co „burzy,“ ale ten, co „boretsia“—itd. Jednocześnie dodał ks. wikary parę uwag, że właściwie nierozsądną i próżniaczą jest rzeczą kochać język, którym *nikt nie mówi*, i udowodnił p. Sarafanowyczowi i ks. Łuczkiewiczowi, że ich językiem *ojczystym* jest polski.“ W tej charakterystyce zamyka się cała teorya polityczna Lama, który znacznie później „poszukiwał“ narodu rusińskiego i który, kreśląc karykatury historycznie i psychologicznie uprawiedliwione, obrażał ludność pobratymczą i wprowadzał do stosunków rusińsko-polskich szyderczy rozdźwięk owym poglądem zaściankowym. Ale zaściankowość ta nie była wynikiem sfanatyzowania się i ciasnoty pojęć, płynęła ona z krwi, z plemiennych upodobań Lama, który wyrósł na pniu dziennikarskim i do słowiańskości miał instynktową odrazę, wykarmioną nietylko pierwotnem niemieckiem wychowaniem, ale także zachodniem powietrzem literatury polskiej. Z różnych źródeł spotkały się w nim dwa pokrewne uczucia antisłowiańskie.

Było to wielkiem dla Lama szczęściem, że po ogłoszeniu drugiej powieści *Koroniarz w Galicyi* (1870) mógł on pisać swobodnie i odsłaniać tę część swej duszy, na którą padł cień od owego utworu. Gdyby był przeniósł się na inną stronę nieba i nie mógł świecić pełnią, lecz wąskim sierpem twarzy, nie uszedłby pręgierza, który mu nawet próbowano wystawić. Rzeczywiście ta karykatura była zgrzebłem, przeciągniętem po najdrażliwszych nerwach społeczeństwa. Artur Kukielski przybywszy jako rozbitek do Galicyi, przeznaczony został pod nazwiskiem Jana Wary w stopniu majora do jednego z oddziałów, „szachujących“ Rosyę, które ciągle tworzyły się, były w pogotowiu, dostarczały kłopotu różnym komisyom i dostojnikom spisku, ale poprzestały tylko na „szachowaniu.“ We Lwowie Kukielski, brnąc po trzęsawiskach organizacyi do swego nowego stanowiska i przymierając głodem, dostaje się pod czułą opiekę dwu pań Szeliszczyńskich, macochy i pasierbicy, których serca odurza. Nareszcie obdarowany przez nie hojnie i zaopatrzony w paszporty: francuskiego wice-hraciego i rosyjskiego księcia, jedzie do „sztabu.“ W drodze spotyka austryackiego żandarma, który zwąchawszy winowajcę, zwłaszcza, że wiozący go szlachcic uciekł z bryki, bierze wicehrabiego do kozy. Tu zaś od swych byłych towarzyszów broni, którzy go poznali, dostaje miotłą, ale udając francuza i porozumiewając się z władzą za pośrednictwem córki aptekarza, ucieka z więzienia. Chwilowo bawi w domu ojca swej tłomaczki, którą daremnie usiłuje oczarować, potem w charakterze księcia przebywa po dworach szlacheckich, splątanych z siecią organizacyi „szachującej“ i olśnionych jego dostojeństwem rodowem, wreszcie osiada u wodza „czerwonej opozycyi“—Kasprowskiego. Z trzech jego córek jedna rozniecila ogień w sercu mniemanego księcia. Miłość budzi w sercu blagiera wyrzuty sumienia, pod wpływem których wyznaje, że nie posiada zamków i włości, nie jest księciem Czetwertyńskim, lecz Kukielskim — fryzyerem z Warszawy. Naturalnie panna cofa mu wszystkie swoje względy, znajomi wzgardliwie odwracają się, a gdy zdemaskowany wyjeżdża, wpada znowu w ręce władz, z których wydobywa go opiekunka lwowska, pani Szeliszczyńska, za co on płaci jej swą ręką. W tych ramach autor, jak zwykle, pomieścił nietylko mnóstwo docinków, wycieczek i szykan, skierowanych przeciwko ludziom i wypadkom po za powieścią, ale także wiele zabawnych pomyłek, nieporozumień i głupstw, do których mu krążenie po okolicy nastręczało ciągle sposobność.

Ten świat, w którym zbiegały się nici najważniejszej i najboleśniejszej sprawy narodu, jest jeszcze głupszym, nędzniejszym i nikczemniejszym, niż „świat Capowic.“ Widzimy w nim tylko: niedołęztwo, samolubstwo, idyotyzm, obłudę, szalbierstwo, lękliwość z pozorami odwagi, zwyrodnienie obywatelskie. Ani jeden z owych sprzysiężonych „szachistów“ nie posiada nawet tyle moralnej i umysłowej wartości, ażeby go można było zaliczyć do zwykłych ludzi. Najlepsi względnie są jeszcze ci, którzy są tylko bezmiernie głupi, reszta godna szpitala, kryminału lub gabinetu zoologicznego. Autor nawet nie próbuje zachować jakiegokolwiek prawdopodobieństwa, owszem, posuwa karykaturalność do ostatecznych kresów. Tak np. jeden z bohaterów, politykując, utrzymuje, że gdyby tegoroczne „wymarznięcie kukurydzy doszło do wiadomości Napoleona, spowodowałoby go niewątpliwie do przyspieszenia interwencyi.“ Pani Podborska, pragnąc dobrze okazać się rzekomemu księciu, woła do męża: „Zdzisiu milcz, bo powiesz głupstwo“ a innym razem każe mu spoliczkować lokaja. Rozmowy przywódców ruchu są maligną obłąkanych. Jeżeli gdzie, to tu Lam nie „gryzie sercem.“ Pogodny bowiem humor nie opuszcza autora na chwilę, a jest on nieraz tak rozbrykany i rozwierzgany, że zamienia się na puste, swawolne, żadną logiką nie skrępowane konceptowanie. *Koroniarz w Galicyi* wyszedł wkrótce po osławionej *Tece Stańczyka*, a nawet był może przez nią natchniony. Ale pomimo całej niesympatyi dla katechizmu stańczyków a sympatyi dla Lama, musimy wyznać, że *Teka* miała olbrzymią wyższość nad *Koroniarzem*. Tam pod sarkazmy podłożono poważny program polityczny, tu pod bezmyślnem błazeństwem nie było żadnego gruntu. Tam

stronnictwo prawności oświadczyło: idea tajnych spisków i zbrojnych powstań była dla nas zgubną, trzeba się z nią raz na zawsze rozstać; tu człowiek, który w spełnianiu tej idei uczestniczył, odmalował jej bohaterów, jako kretynów, kpów i okpiszów, a całą ich pracę, jako działalność zdolną uraczyć jedynie podchmielonego Stańczyka. Ponieważ zaś autorowie *Teki* nieszczęsną ruchawkę nazwali sztuczną robotą garści osłów i warchołów, Lam więc swoją grupą karykatur wyilustrował i usprawiedliwił to obelżywe mniemanie. Ale jeżeli ono w chłodnej taktyce stańczykowskiej miało swoją racyę, w jego czerwonym patryotyzmie traciło wszelki sens. Nic to nie znaczy, co on zastrzega: „W całej Polsce odbywał się krwawy i straszny dramat, o zakroju trochę (!) szekspirowskim, bo obok scen wzniosłych i tragicznych, nie brakło i komicznych. Rzecz oczywista, że tamte działy się za kordonem, a tych wyłączną widownią była Galicya.“ Pomijając te sprzeczności, że autor w powieści drwi ciągle z koroniarzów, poniewierających Galicyą i przyznając, że ów „dramat“ był „o zakroju trochę szekspirowskim,“ owe „sceny komiczne“ nie przypominały niczem i przypominać nie mogły scen parodyi Lama. A skoro ona jaknajdalej odsunęła się od prawdy, jaki miała cel? Nie miała żadnego, prócz wywołania efektów bezmyślnej kpiny. Jako zwierciadło, odbijające rzeczywistość w kształtach potwornych, *Koroniarz* wywołał to tylko, co takie zwierciadła wywołać mogą.

(D. c. n.).

STANISŁAW DOBRZAŃSKI*).

W żyłach jego płynęła po mieczu krew literata — ojciec jego, niedawno zmarły, odegrał jak wiadomo niepospolitą rolę w życiu politycznem Galicyi — po kądzieli zaś krew słynnego tragika i dyrektora teatru skarbkowskiego, Smochowskiego. To też od dzieciństwa (jak poświadcza p. Urbański, kolega jego z ław szkolnych) okazywał nieprzeparty pociąg do sceny i literatury. Chłopcem będąc, przekradał się „na parter,“ a niezbyt prawidłowa ta manipulacya ciągnęła się przez lat kilka, nastręczając taniego sposobu obeznania się ze sceną i dając sposobność po przedstawieniu do zaciekłej krytyki z kochanym koleżką. W mieszkaniu ojca, redaktora odbywały się wieczorki literackie, gromadzące wybitnych przedstawicieli prasy i beletrystyki. Z bijącem sercem przysłuchiwał się chłopiec poważnym rozprawom a głośno odczytany wiersz lub artykuł „nabawiał go gorączki.“ Gdy podrósł, oddawał się z zapałem urządzaniu teatrów amatorskich. W trudniejszych, charakterystycznych rolach, które jako reżyser przyjmował na swoje barki, ujawnił niepośledni, odziedziczony talent dramatyczny. Grywał śmiało, z rutyną starego aktora. Z oklaskiem jednak widzów nie łączyła się pochwała ojca, który podejrzliwem okiem śledził rozwój skłonności syna, starając się napróżno odwieść go od „śliskiej drogi.“ Ulegając wewnętrznemu, niczem niepohamowanemu popędowi wstąpił Stanisław na deski teatralne, z początku ukradkiem na scenie prowincyonalnej, później publicznie w Krakowie, w roli komika. Licząc lat dwadzieścia kilka został dyrektorem teatru poznańskiego, aż w końcu, po złamaniu oporu ojca, objął stale kierownictwo artystyczne sceny lwowskiej, którą podniósł wysoko, tak pod względem repertuaru i doboru osób, jak i pod względem wystawy. Jako dyrektor miał „Stasio“ swoje kaprysy i wady, ale trudno mu było odmówić gustu i ofiarności lubownika sztuki, idącej w parze z talentem aktorskim. Że młodzieniec tak wielkich zdolności nie ziścił wszystkich pokładanych w nim nadziei, winny temu przedewszystkiem smutne stosunki domowe, których nie będę odsłaniał, a potem karyera teatralna, która młodzieńca niedostatecznie jeszcze rozwiniętego (za obicie izraelity wykluczono go z gimnazyum, dalszej zaś nauki nie pobierał więcej) wyniosła zbyt wcześnie na stanowisko, pochłaniające najlepsze jego siły. Dźwigając brzemię prac dyrekcyjnych, występując równocześnie w coraz to nowych a subtelnie opracowanych rolach, żyjąc nieopatrznie, padł ofiarą choroby sercowej, której ruchliwy i gorący jego temperament długi czas się opierał. Dla usunięcia od zajęć zawodowych wysłano go do Włoch, nie rokując sobie żadnych nadziej. Lecz któżby przypuścił, że w tym właśnie okresie cierpień bolesnych i czarnych myśli urodziły się w duszy skazanego na śmierć artysty najlepsze jego farsy: *Złoty cielec* i *Żołnierz królowej Madagaskaru*. Zawdzięczamy to orzeźwiającemu słońcu Italii, czy młodzieńczym zapałom poety, czy może obu czynnikom razem, dość że Dobrzański podźwignął się, aby na chwilę zajaśnieć w słonecznym blasku. Zapowiedź przybycia cesarza do Lwowa zelektryzowała go do reszty. Ambicya, podniecona fantazyą, przemogła bezsilność ciała. Bez względu na rozpaczliwy postęp choroby, zażądał stanowczo, by dano mu wystąpić „ostatni raz w życiu...“— w *Benecie* Fredry. Przepełniony teatr zdziwiony był dłuższym międzyaktem — niespodziewaną przerwę spowodował gwałtowny atak sercowy artysty, tuż przed podniesieniem zasłony, Stanisław stracił mowę i sztywny, jak trup, runął na ziemię. Mocnymi środkami pobudzony przez lekarzy, chwiejąc się, wyszedł na scenę i odegrał świetnie swą rolę — z za kulis jednak zaniesiony do mieszkania legł, by z łoża boleści nie powstać więcej— (umarł 1880 r.).

Plon jego działalności literackiej nie był bogaty. Oprócz humorystycznych kronik w *Gazecie narodowej* i ciętych artykulików w redagowanem przez siebie pisemku *Sowizrzale*, zostawił szereg sprawozdań z wystawy paryskiej, kilka studyów o Szekspirowskich postaciach, o teatrze polskim w Warszawie, i może najlepszą z tych prac broszurę: o stanie sceny lwowskiej i sposobach jej podźwignięcia. Trwalszy pomnik wystawił sobie jednoaktówkami, które tu poraz pierwszy zebrano w całości (brak tylko *Najnowszej tragedyi*, pisanej przed samą śmiercią). Znane one nam dobrze ze sceny, był czas, że je grano we Lwowie parę razy na tydzień.

Farsa Dobrzańskiego jest ciętą satyrą na zepsutą szlachtę (*Kajcio*) i jeszcze podlejszą plutokracyę bankierską, dla której główny cel życia i najwyższe bożyszcze stanowi pieniądz (*Złoty cielec*). satyrą chłoszczącą niemiłosiernie sentymentalizm romansowy (*Pan Onufry*) i fałszywą pruderyę, strojącą się w farbowane piórka cnoty (*Żołnierz królowej Madagaskaru*). Szkoda tylko, że tej zdrowej tendencyi—pomijamy jeden niefortunny strzał z za płota na pozytywizm — nie zawsze odpowiada charakterystyka. Pan Antoni np. w *Onufrym* i pan Floryan z komedyi *Podejrzana osoba*, obaj kapitaliści mogliby uchodzić za malarzy albo za profesorów. Pan Antoni nie ma ani jednego rysu typowego kapitalisty, a tak głupio zazdrosnego zapaleńca, jak Floryan, szukać chyba z latarką w kole rycerzy kapitału. Ten ostatni jest powtórzeniem jota w jotę pana Alfonsa z fraszki scenicznej p. t. *Tajemnica* i obaj muszą dlatego tylko, aby nie potargać słabych nici intrygi, do tego stopnia być zaślepionymi zazdrością, że swoje jak szkło czyste połowice męczą i dręczą bez najmniejszej z ich strony przyczyny. Satyra Dobrzańskiego posługuje się nieraz karykaturą, przechodzącą granice prawdopodobieństwa, nie stroni od tłustych dwuznaczników, w potrzebie narzuca rozumnym ludziom rolę błaznów i głuptasów, albo wprowadza na scenę zamiast żywej osoby postać manekina, czasem nawet bardzo pocieszną, której dowcip polega na wypowiedzeniu (mniejsza o to w porę czy nie w porę) zawsze tych samych stereotypowych zwrotów. Komiczność sytuacyi, oparta jest na zużytych motywach nieporozumień z całą motaniną przebierania się lub ukrywania pod stołem. Dla tych omyłek musi Goldsztern, szczwany lis, patrzeć bezczynnie, jak córka jego rzuca na pastwę płomieni 200,000 guldenów w gotówce, aby pod koniec sztuki dowiedzieć się, że to był — figiel; ale skąd się wzięło w tem szachrajskiem gnieździe, takie naiwne i szlachetne dziewczę, i jak mogło nie splamić swych białych skrzydeł w tym brudzie, to pozostanie zagadką. W innej fraszce, dochodząca do szczytu, kolizya polega na tem, że bohaterowi grożą: kochanka, ojciec jej i rywal — kulą: pierwsza, jeżeli domagać się będzie jej ręki, drugi wprost przeciwnie, jeżeli odstąpi od żeniaczki, trzeci, naturalnie, jeżeli odważy się dotknąć ubóstwianej kochanki. Czyż można sztuczniej wyśrubować kłopoty człowieka, otoczonego całą bandą wolnych strzelców? Czy chcecie poznać jeszcze rozwiązanie. Oto bohaterka zażywa truciznę a właściwie *English bitter* — i dostaje... skutków. Albo inny przykład (*Wujaszek Alfonsa*). Na zjazd do Lwowa zwaliła się do ciupy biednego urzędnika cała hołota krewnych i kolegów z prowincyi, a między nimi aż trzech rzekomych wujaszków. Z tych jednego wyrzucają za drzwi, aby się przekonać, że to był prawdziwy, drugi, zupełnie obcy, sądząc, że do oberży zajechał, posługuje się gośćmi, jak kelnerami, a żonę obcałowuje, jak pokojówkę itd. Zawstydzeniom nie ma końca.

Doświadczenie życia, wielka znajomość ludzi i prawdziwa *vis comica* tryska z charakterystyki świata bankierskiego (*Złoty cielec*) i z półświata zakulisowego (*Żołnierz królowej Madagaskaru*). Ale i tutaj technika i forma mocno zaniedbane. Filolog może na języku Dobrzańskiego odbywać studya nad gwarą galicyjską. (Przytaczam dla poparcia mego zdania wiązankę z pierwszych kilkunastu stronic. „Kwandrans“ str. 5 i 13, szukam *za* nim str. 12, porów*nujesz*, przekon*uje* się str. 5, „Józef, *który* stoi na drzwiach, *któremi* wychodzi żona str. 10, nie zaznaczam miej*sce* str. 13 itp.“).

H. B.

*) Dobrzański Stanisław: *Komedye*, wydanie zbiorowe z przedmową Aurelego Urbańskiego. Lwów, nakładem H. Altenberga. 1886.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Szeroka droga do duszy naszej. — Mądrość drukowana i niemądrość czytana lub deklamowana. — Zabawa, otwierająca naszą literaturę.—Konkurs *Tygodnika ilustrowanego*. — Wiersz niewiadomego autora. — Ujejski i... Grąbczewski. — P. Stachewicz głośny i p. Stachewicz cichy. — Napomnienie dla Prusa. — Domy budowane tajemniczo. — W obronie nieortograficznych napisów. — Niedorzeczniejszy od nich dziwoląg.

Do naszej duszy jedna tylko prowadzi szeroka droga — przez zabawę. Zabawą ocieramy łzy, zabawą stawiamy pomniki poetom, zabawą karmimy głodnych i odziewamy nagich, zabawą opłacamy wszystko. Nierzęsiście kapie złoto i zapalają się brylanty w naszej literaturze, ale ma ona

swoje szczęśliwe natchnienia i rzetelne prace. O najlepszych wszakże krytyka milczy lub bąka półgębkiem, dopóki one nie ubiorą się w postać rozrywki. Napisz, lekkomyślny człowieku, dzieło, w którem rozwiążesz zagadkę nieskończoności, a przekonasz się. że lata całe upłyną, zanim w wielu pismach uczczą twoją mądrość i zasługę; lecz odczytaj publicznie w Ratuszu lub Resursie obywatelskiej rozprawkę, w której dowiedziesz, że promienie koła są sobie równe (lub nierówne) wszystkie organy opinii publicznej szeroko ogłoszą światu doniosły wypadek. Bo dla wysłuchania tego wykładu ludzie ubierają się, jadą dorożkami lub karetami, przed wejściem prelegenta na katedrę rozmawiają, śmieją się, pokazują sobie ładne kobiety i głośnych mężczyzn — słowem używają zabawy. Jak tu nie „omówić“ (słownik warszawski) takiej uroczystości! Więc... „omawiamy“ i wczoraj nieznane nazwisko pierwszego lepszego facetusa jutro rozbrzmiewa w ustach całej prasy.

A ty drugi, lekkomyślny prostaczku, napisz tragedyę lub komedyę z geniuszem Sofoklesa lub Arystofanesa i zostaw ją w druku — pozazdrościsz rozgłosu cyrkowemu błaznowi. Ale gdy spłodzisz najgłupszą farsę, poślij ją na konkurs lub do teatru, zobaczysz, jaką to było koniecznością, ażeby kraj dowiedział się o twojem istnieniu. Bo konkurs jest zabawą: ustanowienie nagrody i warunków, zebranie sędziów, turniej tajemnicą okryty, szepty i zabiegi, nakoniec uroczyście ogłoszony wyrok, po którym następują niezadowolenia, apelacye do wyższych instancyj krytycznych lub do bezstronnego sądu publiczności— wszystko to rozciekawia, drażni, denerwuje, daje wrażenia. Podobnie teatr: wzmianki w *Kuryerach* o nowej sztuce, narady i grymasy aktorskie, wieczór zeświatłem gazowem i „śmietanką“ społeczeństwa, rozmowy między aktami, spory, obrony przyjaciół; napaści współzawodników — przecie to najpyszniejszy bal. Czy można go nie „omówić?“ Spekulanci chwycili już za tę naszą żyłę. Dawniej wydawca, który chciał mieć artykuł o majowych chrabąszczach lub powiastkę, zwracał się do odpowiedniego literata i pracę jego drukował. Teraz inaczej, teraz ogłasza się konkurs na artykuł o majowych chrabąszczach dlatego, ażeby wszystkie pisma ogłosiły otwarcie popisu i jego wynik. Jest to najtańsza reklama a koszta jej spadają tak szybko, że niedługo będzie można za pierwszą nagrodę wyznaczyć kwartę suszonych śliwek lub coś jeszcze skromniejszego, co p. Lewental dowcipnie wymyśli.

Dzięki tej szczególnej właściwości naszej, trzy poezye i trzy nowelki konkursowe *Tygodnika ilustrowanego* są od dwu przeszło miesięcy przedmiotem głosowania kilku tysięcy ludzi i uwag prasy. Nie badam wartości tego turnieju, o którym zresztą już dawniej pisałem i który ostatecznie jest zabawką dość niewinną a w pewnej mierze pouczającą, ale mówię o kwiatach dziennikarskich, otwierających szeroko swe kielichy ku tej orzeźwiającej rosie. Przypuśćmy, że owe trzy poezye ukazały się drogą zwykłą; zyskałyby poklask *Kuryera warszawskiego*, (któremu w *Tygodniku* wszystko niezmiernie się podoba) — i koniec. Nikt by ich nie porównywał, nikt (gdyby były bezimienne) nie dociekałby autorstwa, przeszłyby w niepamięć, jak wiele innych. Ale trzy boginie wyszły z piany — z zabawy literackiej, odrazu więc zajęły uwagę powszechną i otrzymały od krytycznych Parysów jabłko piękności. A co by z nich niejeden dał za wiadomość, kto jest autorką wiersza p. t. „Safo?“ Nieznana wieszczko, nie zlitujesz się nad nimi?

Pierwsze dwa utwory wyszły z pod pióra p. Konopnickiej, o czem wątpić było trudno. Są one jej talentu godne i nie w poświęconej im wrzawie leży dowód naszego dzieciństwa, ale w tem przekonaniu, że bez konkursu nie doczekałyby one dobrego słowa od obecnych swych chwalców. Dopiero wypowiedziane na koncercie z lolałyby może kiedyś przejść przez prasę. Jednym z najpiękniejszych talentów poetyckich literatury polskiej jest Kornel Ujejski — i cóż — nie wszyscy wiedzą, że on żyje, nie oceniono go w studyach i rozprawach, ale wkładają mu papierowy wieniec na głowę, ile razy jakaś aktorka zadeklamuje jego rymy na estradzie. Zapewne są tacy, którzy przypuszczają, że Ujejski, napisawszy *Hagarę na puszczy* i kilka libret piosenkowych, umarł. *Kuryer codzienny* przytacza następujący wiersz, pomieszczony w *Kuryerze warsz.* z 1835 r.

POCZTA RUSKA.

Kto chcesz wiedzieć, jak ptactwo po powietrzu lata,
Niechaj cię poczta ruska przewiezie po ziemi.
Tabun na wiatr wypływa skrzydłami orlemi,
Kopytami czas zwęża, grzywą blask rozmiata.

Kibitka, jak jaskółka samotna, przelata
Z drogi na drogę, dotknąć zapomina ziemi;
Dzwonek, któremu braknie tchu, napół żywemi
Głoski, sylabizuje pożegnanie świata.

Z ócz rozigranej trójki wzrok sypie się żarem,
Dokoła kopyt skaczą iskry z wiatrów warem—
I niebo nie dla ciebie i ląd nie dla ciebie;

Toniesz, toniesz w przestrzeni, myśl tobie ciężarem—
A zwoszczyk, jako szatan myślący o niebie,
Wciąż się uśmiecha, dumę wdziewając na siebie.

Sonet ten bez podpisu, według domysłu *Kuryera codz.*, jest utworem Mickiewicza. Nie zdaje nam się, chociaż przyznajemy mu również „pierwszorzędną piękność.“ Ktokolwiek wszakże go napisał, przeoczenie takiej perły dowodzi, że nasze zaglądanie do literatury przez zabawę odbywa się już oddawna. Gdyby w r. 1835 „Pocztę ruską“ zadeklamowała publicznie aktorka w Grojcu, znalibyśmy autora, bo by go odszukano. Na nieszczęście unieśmiertelniły poezyę tylko czcionki drukarskie. Zresztą przypuściwszy nawet, że jakiś szperacz odkrył już dawniej twórcę owego sonetu, to sam fakt obecnej niezaradności naszej jest charakterystycznym. Byłoby nierozwiązalną zagadką, jakim sposobem publiczność polska zapamiętała nazwisko Krasińskiego przy jego poematach (wydawanych bezimiennie), gdyby nie okoliczność, że maski z oblicza muz arystokratycznych zdzieramy prędko.

Oby przyszłość zaprzeczyła każdej głosce mojej wróżby, sądzę jednak, że daleką jeszcze od nas jest ta epoka, kiedy owoce literatury zaczniemy oceniać nie według koszyków, w których są sprzedawane. Dziś mają one dla krytyki wartość o tyle, o ile są artykułami publicznego widowiska, zabawy. Gdyby podręcznik algiebry mógł być odśpiewany w teatrzyku ogródkowym, nauczylibyśmy go się na pamięć; na innej drodze miniemy obojętnie najucześniejsze dzieła i najpiękniejsze rymy, w szczuplejszem kole będziemy znali naszych badaczów i poetów, niż opryszków i rabusiów.

Z ręką na sercu powiedzcie tłumy, kto was bardziej zajmuje i o kim wam więcej mówiono: o Ujejskim czy Grąbczewskim? Gdzie Ujejski mieszka, choć się nie kryje? Ale gdzie mieszka Grąbczewski, choć się kryje przed pogonią sądową, każdy czytelnik gazet natychmiast odrzeknie: w Vichy! Tak, w Vichy, szanowni panowie i panie, bawił nas swoim występkiem przez kilka tygodni, więc nie zapominamy o nim. I o Rembertowskim nasze dzieci słyszały, a o Ujejskim — nic — nic.

Gdy na konkursie *Tygodnika powszechnego* p. Stachewiczowi przyznano drugą nagrodę za rysunek „typu dziewicy polskiej,“ kilkadziesiąt piór dziennikarskich wyrzuciło go w górę z okrzykiem: niech żyje! Obecnie tenże sam p. Stachewicz pomieszcza piękne rysunki w *Tygodniku ilustrowanym* i oprócz *Kuryera warsz.* (któromu w *Tygodniku* wszystko nadzwyczajnie się podoba) nikt o nim nie wspomni. Nie ma rady, biedny artysto. Musisz czekać nowego konkursu, bodaj na typ krzywej wierzby polskiej, wtedy znowu cię obniosą w procesyi przed czytelnikami. I ja popełniłem kiedyś grzech literacki, który w czarnej księdze wielokrotnie podkreślono; dziesięć lat mi go nie wymawiano, dopiero gdy przez kaprys losu wylazł na scenę, odebrałem całą należność w liściach bobkowych i pieprzu. P. Wołowski z p. Kotarbińskim zrobili do współki komedyę — za sto lat obrażona arystokracya nie dowiedziałaby się, że ją skrzywdzono, gdyby nie teatrzyk w Albambrze, który rzucił autorów w takie wichry krytyczne, że aż p. Wołowski przez *Kuryer codzienny* pisuje łzawe listy do p. Kotarbińskiego w Zakopanem. Ej, Prusie, postaraj się o jakie przedstawienie swych nowel lub żywe z nich obrazy, bo na seryo ludzie uwierzą, że masz talent równy siłom p. Jeske - Choińskiego. Człowieku, czemu nie stanąłeś do konkursu *Tygodnika?* Trzeba być na to wrogiem własnej sławy.

Gdyby magistrat wyznaczał corocznie konkurs na domy, zrzekłbym się chętnie tego zwyczaju w literaturze. Bo posłuchajcie, co opowiada jeden z budowniczych w *Kur. warsz.* Młodzież pragnąca wykształcić się w mularstwie, a nie mająca odpowiedniej szkoły, zwiedzała bardziej pouczające roboty różnych majstrów. Obecnie na parkanach nowobudowanych domów coraz częściej ukazuje się napis: „wejście wzbronione.“ Czemu? „Główną i podobno jedyną przyczyną zakazu są „fuszerki“ pana majstra, robione czasem w zmowie z właścicielem, a niekiedy nawet za pobłażaniem samego budowniczego.“ Cóż to za „fuszerki,“ w których współdziałają nietylko majster mularski i budowniczy, ale nawet sam właściciel domu? Te, które kiedyś mnie lub tobie czytelniku spadną na głowę pod postacią oberwanego sufitu lub zwalonej ściany. Jak widzisz, przydałby się bardzo ukaz, zastrzegający jawność budowy domów, tak jak jawność sądów. Dziwny ten człowiek pod naszem niebem: żeby mu pozwolono nakryć się siatką pajęczą, zasłonić się obłoczkiem pary — w tej chwili zacznie broić.

Nie należąc do żadnego komitetu, stworzyłem sobie urzędzik opiekuna nieortograficznej literatury szyldowej. Nie umiem wam wyrazić, jaką przyjemność sprawia mi napis: „fhut pszes brame.“ Gdyby anglik nie wiedział, że jego językiem mówi sto kilkadziesiąt milionów ludzi, doznałby z pewnością równej rozkoszy, spostrzegłszy najbłędniejszy napis nad sklepikiem wsi papuaskiej. Owe bowiem dziwolągi polskie przekonywają mnie, że śród warstw najniższych żyje jeszcze przywiązanie do mowy krajowej i chęć publicznego zachowania jej praw. Tymczasem syca one humor *Kuryerów*, zbierających „znakologię“ i umiejących wszystko wymienić na żart. Codzień prawie osadzony jest na szpilce jakiś bezimienny autor „piży i puhu“ lub „midełki.“ Pomijając moralną stronę tej zabawy, zwracam uwagę jej uczestników, że polsko-grecki wyraz „znakologia“ jest tysiąc razy niedorzeczniejszym i wstrętniejszym dla naszej mowy niż „puhy“ i „midełki,“ a jednakże autorowie napisów szyldowych z niego się nie śmieją.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Nieproszony gość w roli gospodarza domu. — Legenda średniowieczna wskrzeszona. — Opór włościan. — Dobry przykład. — Etyka chłopska.

Wiadomo już oddawna, że dla niemców „tam ojczyzna,“ gdzie im dobrze, zdaje się więc, że mimo najnowszych objawów „brutalności słowiańskiej nie źle dzieje się im u nas i wogóle w państwie rosyjskiem, kiedy oświadczają, że tu jest ich ojczyzna, że „czują się u siebie w domu.“

Wspominaliśmy w numerze poprzednim, że *Dziennik łódzki* zdobył się na odwagę i oświadczył, iż istnienie pism niemieckich w Łodzi jest zgoła niepotrzebnem. W odpowiedzi na to *Lodzer Zeitung* wypaliła taką odezwę: „Szanowna redakcyo *Dziennika łódzkiego*! Co też rozumiesz pod swoim krajem: Lwów czy może Poznań? Bo chyba nie *naszą* ojczyznę? W Rosyi, tem potężnem państwie, którego synami jesteśmy, którego synami byli nasi ojcowie i przodkowie, a któremu to państwu z niezmienną miłością i wiernością oddani jesteśmy bez względu na to: czy mieszkamy na granicy północnej, czy też na zachodnich lub południowych jego kresach — wszędzie tam, gdzie dwugłowy orzeł rozpościera potężne swe skrzydła, *jesteśmy i czujemy się u siebie w domu.*“

Bal jakże nie mają tak mówić, kiedy my sami kładliśmy im w uszy ciągle, że są wraz z nami dziećmi jednej ziemi, kiedy ten sam *Dziennik łódzki* bronił obywateli pochodzeniem obcych, ale w kraju osiadłych i dla rozwoju jego pożytecznych. Oto, jak teraz przemawiają „zacni obywatele, którzy dzielili z nami złą i dobrą dolę...“ Dla Arndta i jego naśladowców prowincye nadbałtyckie—to *vaterland* niemiecki, chociaż nie należą do niemieckiego *staatu*. Naród rosyjski ma swoją własną ojczyznę, mniejszą od obszarów państwa, ale dosyć dlań rozległą, i nie potrzebuje wcale pożądać ojcowizny tych ludów, które z nim łączą wspólny węzeł państwowy. W tej ojczyznie rosyjskiej, jak i w ojczyznie naszej niemcy nie są u siebie w domu i mylą się bardzo, jeżeli tak myślą i czują się pewnymi. Zdaje się, że głosy prasy rosyjskiej bez różnicy odcieni politycznych powinny ich o tem przekonać. Jesteście wy, panowie z Łodzi, w cudzym domu, w którym ofiarowano wam gościnność niegdyś z litości, do którego dzisiaj wkradacie się chyłkiem, tajemnie, jak złoczyńcy z zamiarem zrabowania gospodarza. Schwytani na gorącym uczynku wołacie, że gospodarz domu, który was przytrzymał, nie ma prawnego tytułu własności. To rzecz inna, a w każdym razie rzecz nie wasza. Pomimo wykrętnych oświadczeń, pomimo pochlebstw wywołanych potrzebą, nawet władza państwowa przekonywa was, że i w państwie rosyjskiem jesteście w cudzym domu. Zapytajcie o to członków komisyi, wysłanej dla zbadania przemysłu w Królestwie, którzy oświadczają, że głównym celem ich pracy jest położenie tamy zalewowi niemieckiemu.

Dotychczasowa działalność komisyi świadczy, w jaki sposób niemcy—jak zaręcza *Lodzer Zeitung*—„szanują prawa tutejsze.“ Istnienie Sosnowic jest jednem wielkiem obejściem prawa, w osadzie tej bowiem tylko włościanie mają prawo nabywać grunta. Tymczasem przedsiębiorcy niemieccy za pomocą różnych wybiegów zakupili znaczne obszary ziemi, na których powznosili budowle i urządzili fabryki. Właściwie, według brzmienia prawa, grunta te powinny im być odebrane i wystawione na sprzedaż, nie chcąc jednak sprowadzać takiej katastrofy, komisya wnosi, żeby Sosnowice zamienić na miasto, ale na przyszłość surowo polecić władzom miejscowym pilnować ściśle przepisów prawa. Szczegółowe badania członków komisyi wykazały, że fabrykanci niemcy nie zachowują żadnych przepisów, że warunki hygieniczne nie są przestrzegane, że nie ma wcale obowiązkowej pomocy lekarskiej itd. Jak pp. niemcy „szanują tutejsze prawo,“ dowodzi również ta okoliczność, że w wielu fabrykach odmówiono udzielania objaśnień lub pokazania ksiąg i dopiero groźbą trzeba było zmuszać opornych, przyczem okazało się, że wszystkie rachunki i dokumenty znajdują się w Niemczech. Wobec tych faktów komisya zamierza wypracować specyalne przepisy, któreby tych „szanujących prawo“ obywateli zmusiły przynajmniej do liczenia się z tem prawem. Ponieważ członkowie komisyi wszechstronnie starają się zbadać warunki pokojowego zaboru niemieckiego, zwrócą zapewne uwagę i na tę okoliczność, iż istnienie takich pism wściekło-niemieckich, jak np. *Lodzer Zeitung*, opiera się na tem, że niewiadomo, z jakiego powodu posiada ona przywilej drukowania ogłoszeń urzędowych. W rzeczywistości nie istnieje żaden przywilej, ale tylko nałóg, datujący się z tych czasów, kiedy *Lodzer Zeitung* była jedynem pismem, wychodzącem w Łodzi i drukowała się w dwóch językach: niemieckim i polskim. Wobec bieżących prądów w polityce rządu, fakt tego rodzaju jest dziwną anomalią, której raz przecie należałoby już położyć kres.

Na zakończenie tej sprawy dodam, że umiarkowany *Dziennik*, nawet po tej wycieczce gazety niemieckiej, wstrzymuje się od polemiki, póki nie dowie się, kto jest autorem odezwy i w czyjem imieniu przemawia. W czyjem imieniu — sądzę, że w imieniu wszystkich niemców łódzkich, którzy oddawna uprawiają tego rodzaju politykę, dla tego chyba nie wiele zależy na tem, kto on jest.

Widocznie niemcy czują się u siebie w domu, kiedy na nasz grunt przeszczepiają nawet swoje tradycye raub-ritterskie. W każdym prawie zameczku nadreńskim przewodnik pokazuje loch, do którego przywiązaną jest legenda o więzionym lub zamorzonym głodem kochanku córki, siostry czy żony jakiegoś barona. Nasze zamki lub dwory takich podań tragicznych nie mają, chociaż i one były widownią gwałtów, ale innego rodzaju. Otóż w ziemi sandomierskiej, jak donosi *Gazeta radomska*, niedawno osiadły obywatel ziemski, niemiec postanowił na barbarzyńskim grucie polskim wskrzesić podania swojej cywilizacyjnej ojczyzny. Jeszcze w miesiącu kwietniu zginął bez wieści nauczyciel M., którego ów niemiec przyjął przed rokiem do swoich dzieci dla przygotowania ich do szkół tutejszych. Okazuje się teraz, że młodzieniec pokochał siostrę swoich uczniów i zapewiony o jej wzajemności, wyznał wszystko rodzicom. Ojciec z oburzeniem przyjął te oświadczyny, widząc zaś nieprzełamany opór w córce, postanowił rozłączyć kochanków. Przedewszystkiem więc żonę wraz z córką wyprawił za granicę, guwernera zaś zatrzymał, dając mu nawet do zrozumienia, że może namyśli się i przyjmie go za zięcia. W kilka dni później wywiózł synów do Warszawy, jednocześnie zniknął nauczyciel, jak mówiono, wyjechał on do swej rodziny w Galicyi. Tymczasem w rzeczywistości M. został uśpiony jakimś narkotykiem i w takim stanie przeniesiony do piwnicy zupełnie ciemnej, znajdującej się pod lamusem w ogrodzie i w więzieniu tem przepędził blizko trzy miesiące. D. i sługa jego również niemiec dostarczali uwięzionemu żywności; wołania o pomoc na nic się nie przydały, chłopi bowiem, chociaż słyszeli głos, dobywający się z pod ziemi, sądzili, że to pokutuje jakiś duch, bo tak zresztą mówił im dziedzic. Dopiero wskutek starań matki młodzieńca wdała się w tę sprawę władza policyjna i wykryła ten czyn oburzający. Nieszczęśliwą ofiarę wydobyto z ciemnicy w stanie strasznego osłabienia. Dotyczas niewiadomo, jaki cel miał D., pastwiąc się tak nad młodzieńcem, wykryje to zapewne śledztwo, które trwa jeszcze, co nie pozwala ujawnić obecnie wielu szczegółów sprawy.

W średniowieczne czasy przenoszą nas także boje, jakie toczą się dosyć często w powiecie wilejskim, a może i gdzieindziej, ale o tamtych wiadomości nie mamy. Są to zacięte walki gromad włościańskich z dworami, właściwie najazdy pól i lasów, kończące się zwykle krwawą bójką. Straszna to walka — o ziemię. Objaw ten zaznaczamy tylko, bez możności wytłomaczenia na razie przyczyn jego ogólnych i właściwości miejscowych. Bez wątpienia jest to objaw bardzo znaczący, który dowodzi silnego naprężenia sprawy rolnej i tylko w takiem znaczeniu może być roztrząsany. Podobne fakty zdarzają się również i to dosyć często w Królestwie, a pisma codzienne opisują właśnie taki bunt chłopski w gubernii lubelskiej. Włościanie pobili geometrę, rozpędzili strażników ziemskich i dopiero kiedy policya otrzymała posiłki, ulegli. Czterech głównych winowajców uwięziono. O tych przywódcach należy tu powiedzieć słów kilka. Praktyka sądowa stwierdziła, że odpowiedzialność pada tu zwykle na ludzi najmniej winnych, na tych, którzy właśnie dążą do porozumienia, występują jako delegaci tłumu, przemawiają do władzy i tem zwracają na siebie jej oczy. Dlatego to kroniki sądowe zawierają tyle wyroków uniewinniających w sprawach o zaburzenia chłopskie. Tutaj zresztą znaleziono nietylko głównych winowajców, ale i główną przyczynę całej sprawy; rozumie się, że tego ostatniego odkrycia dokonała nie władza śledcza, ale korespondenci pism, którzy kierując się metodą badań socyologii warszawskiej, rozstrzygnęli *à priori*, że jedyną przyczyną zajścia był ów klasyczny „pokątny doradca.“ Po tem wykryciu źródła nieprawości chłopskich, szanowni socyologowie złożyli sprawę do akt i położyli się spać. Niechaj sobie drzemią spokojnie do czasu, kiedy obudzi ich pomruk zbliżającej się burzy.

Mam nadzieję zresztą, że dobroczynny wpływ cywilizacyi oddziała tymczasem na zmianę obyczajów chłopskich. Wpływ ten nie może podlegać zaprzeczeniu, idzie on wprawdzie nie przez książki, nie przez szkołę, ale przez przykład działalności klas wyżej rozwiniętych. W gubernii radomskiej w dwóch wsiach odrazu znalazli się tacy naśladowcy przykładów, jakie im dają starsi bracia rodzeni, a zwłaszcza bracia przyrodni („dzieci jednej ziemi“) i podpalili swe chaty, ażeby uzyskać premię asekuracyjną, daleko wyższą, aniżeli wynosiła istotna wartość budowli. Przy tej sposobności spłonęły i chaty sąsiednie, ale to trudno, żadna zmiana nie odbywa się bez ofiar.

Czasem jednak zetknięcie się z inteligencyą oddziaływa na chłopów inaczej. Korespondent nasz z Płocka przytacza taki fakt. Kilku urzędników dzierżawiło pod miastem we wsi Podolszycach polowanie od włościan. Niejaki p. S., przedstawiciel inteligencyi, postanowił wydrzeć im takowe, udał się więc cichaczem na wieś i ujął sobie kilku włościan, obiecując im podniesienie ceny dzierżawnej. Sołtys zwołał gromadę i przedstawił sprawę, wielu włościan skłaniało się już do zerwania poprzedniej ugody, ale w czasie narad wystąpił gospodarz B., człowiek poważny i wygłosił taką przemowę, którą korespondent nasz przesyła, jak zapewnia, w dosłownem brzmieniu: „Moi wy gosyodarze. Czy to nie wstyd dla was łaszczyć się na marnych kilkanaście rubli. Zważcie ino sobie, co to musi być za człowiek ten pan, co przychodził do nas, aby *swoich* podkupić. Ja wam powiadam, choć go nie znam, że to

musi być wielki cygan i dla tego nie radzę wam wchodzić z nim w interes, bo was na pewnika okpi. Oddajmy lepiej polowanie dawnym znajomym za darmo, niżbyśmy mieli na jaki krzywy zarobek się łakomić.“

Słowa te sprawiły niespodziewany skutek; cała gromada jednogłośnie postanowiła zawiadomić dawnych dzierżawców, że mogą nadal zatrzymać polowanie po dotychczasowej cenie, dla uniknienia zaś na przyszłość sprzeczek i pokusy, cały ten dochód ma być oddawany proboszczowi na jaki dobry uczynek.

„O inteligencyo! — pyta korespondent— czy w twojej gromadzie prawda i słuszność odnoszą tak łatwo zwycięztwo?“

Mnie w tym przykładzie etyki chłopskiej uderza jeszcze jedna, drobna okoliczność, która oprócz tego że podnosi moralną doniosłość czynu, posiada również i pewne znaczenie społeczne. Włościanin, charakteryzując postępek p. S. rzekł, że chciał on *swoich* podkupić. Ten zaimek dzierżawczy oznacza, że chłop wyodrębnia inteligencyę jako jednostkę zbiorową i że stosując do niej prawidła swojej etyki społecznej, wymaga od takiej zbiorowości, ażeby rządziła się tą zasadą solidarności, jaką on rządzi się jeszcze w wielu wypadkach w swoj gromadzie.

J. Nieborski.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Szkoły. Ministeryum oświecenia zatwierdziło projekt urządzenia w gub. kijowskiej szkół rzemieślniczych, z zapisu hr. Branickiej, w sumie 287,000 rs.

Muzeum rolnictwa i przemysłn oprócz wystawy nasion, o której wspominaliśmy, urządza jeszcze drugą — „konfekcyj i potrzeb mieszkalnych.“ Trudno nawet zrozumieć, co ten dziwoląg językowy ma oznaczać.

Popieranie przemysłu krajowego nie zawsze jest możliwem, niedawno np. droga warszawsko-wiedeńska zmuszona była zamówić 500 wagonów w fabrykach zagranicznych, ponieważ różnica w cenie podana przez firmy obce i towarzystwo Lilpop Rau i Loewenstein wynosiła tylko... 237 rs. na wagonie.

Pracownia fizyczna zostanie wkrótce otwarta przy Muzeum przemysłowo-rolniczem.

Wystawa ruchoma obrazów przychodzi do skutku, szkoda jednak, że urządzają ją nie sami malarze, lecz przeosiębiorca, który zamierza objeżdżać z tą wystawą znaczniejsze miasta prowincyonalne.

Wywóz zboża z Rosyi w ciągu lat ostatnich zmniejsza się, największą jednak różnicę przedstawia rok bieżący, w czterech pierwszych miesiącach w porównaniu z rokiem przeszłym wywóz pszenicy z 48,000,000 pudów spadł na 19.000,000, żyta z 26,000,000 na 14,000,000, jęczmienia z 16,000,000 na 4,000,000, owsa z 13,500,000 na 3,750,000 pudów.

Nowe pisma. P. W. Gruszecki otrzymał pozwolenie na wydawanie miesięcznika, poświęconego geografii i etnografii p. t. *Wisła.*

— Wychodzić ma w Warszawie *Tygodnik biograficzny*, który zamieszczać ma tylko nekrologi lub życiorysy.

Bibliografia. Dr Józef Rostafiński: *Botanika szkolna dla klas niższych.* Kraków.

Botanika dla klas wyższych. Kraków.

— Dominik Maślakiewicz: *Wskazówki dla zawierających akta rejentalne i prywatne* (dla wszystkich czytelników uprzystępnił pisarz *Gazety świątecznej*).

Handel dynamitem. Rząd angielskł w obawie nowych zamachów irlandzkich wyznaczył komisyę dla zbadania wyrobu środków wybuchowych i handlu nimi. Z doniesień jej okazuje się, że w Anglii 21,268 osób sprzedaje dynamit i inne podobne produkty, których pewna część używa się do przyrządzania... lekarstw. Główne jednak składy i fabryki znajdują się w Ameryce i należą do m-ra Holgate'a, serdecznego przyjaciela wszystkich rewolucyonistów. Ciekawym bardzo jest fakt, że z kupionych bomb mały bardzo procent tylko był dotychczas użyty, co się stało z resztą — niewiadomo.

Trzeci już majątek polski w Poznańskiem przeszedł w ręce rządu pruskiego, tym razem sprzedaż ma znaczenie jeszcze donioślejsze, ponieważ majątek, o którym mowa, leży w powiecie krobskim, gdzie przy wyborach kandydat polski zwyciężał z wielką trudnością.

Ludność polska w państwie pruskiem wynosi, według danych niemieckich 2,450,000 głów, mianowicie w Poznańskiem 890,000, Prusach zachodnich 470,000, wschodnich — 350,000 i na Szlązku — 740,000; cyfry te są przynajmniej o 1/4 zmniejszone w porównaniu z rzeczywistemi.

Generał Jansky, który dał powód do rozruchów ulicznych w Peszcie, karyerę swoją wojskową zawdzięcza temu, że w ciągu lat kilku pełnił obowiązki szpiega w gub. południowo zachodnich, służąc dla pozoru jako leśniczy w dobrach prywatnych.

Liszt, którego nekrologi w pismach naszych zrobiły gorącym patryotą, jak się teraz okazuje, nie umiał wcale mówić po węgiersku.

Cukrownictwo. Komisya dla zbadania stanu cukrownictwa, obradująca w Kijowie, ukończyła swe czynności. Za obowiązkowem ograniczeniem produkcyi oświadczyła się znaczna liczba fabryk, ale wszystkie prawie cukrownie mniejsze są temu przeciwne. Pomimo że za granicę wywieziono $7\frac{1}{2}$ mil. pudów cukru, ceny nie podniosły się wcale.

Ludność gubernii lubelskiej z końcem 1885 r. wynosiła według danych urzędowych 935,497 osób, w tej liczbie katolików 586,723, prawosławnych 180,780, ewangelików 24,600, żydów 133,391 i innych wyznań 3 osób. Na stosunek tych cyfr zwrócić powinna uwagę pewna część prasy rosyjskiej.

Zmarli. Hieronim Bońkowski, tłomacz *Starożytności słowiańskich* Szafarzyka.

OFIARY.

Dla studentów Uniwersytetu warszawskiego. Jako kara od I. F. rs. 1.

Do rozporządzenia redakcyi. Panie H. A. J. K. rs. 6; od U. D. N. rs. 20.

Ogłoszenia.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 8 Августа 1886 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.